

KONFLIKT TRWA JUŻ PIĘĆ LAT!

co na to Czytelnicy? (patrz str. 5)

TYGODNIK
SPOŁECZNO-OŚWIATOWY

ROK LXVIII ● NR 32 ● 11 VIII 1985 r.

CENA 10 ZŁ

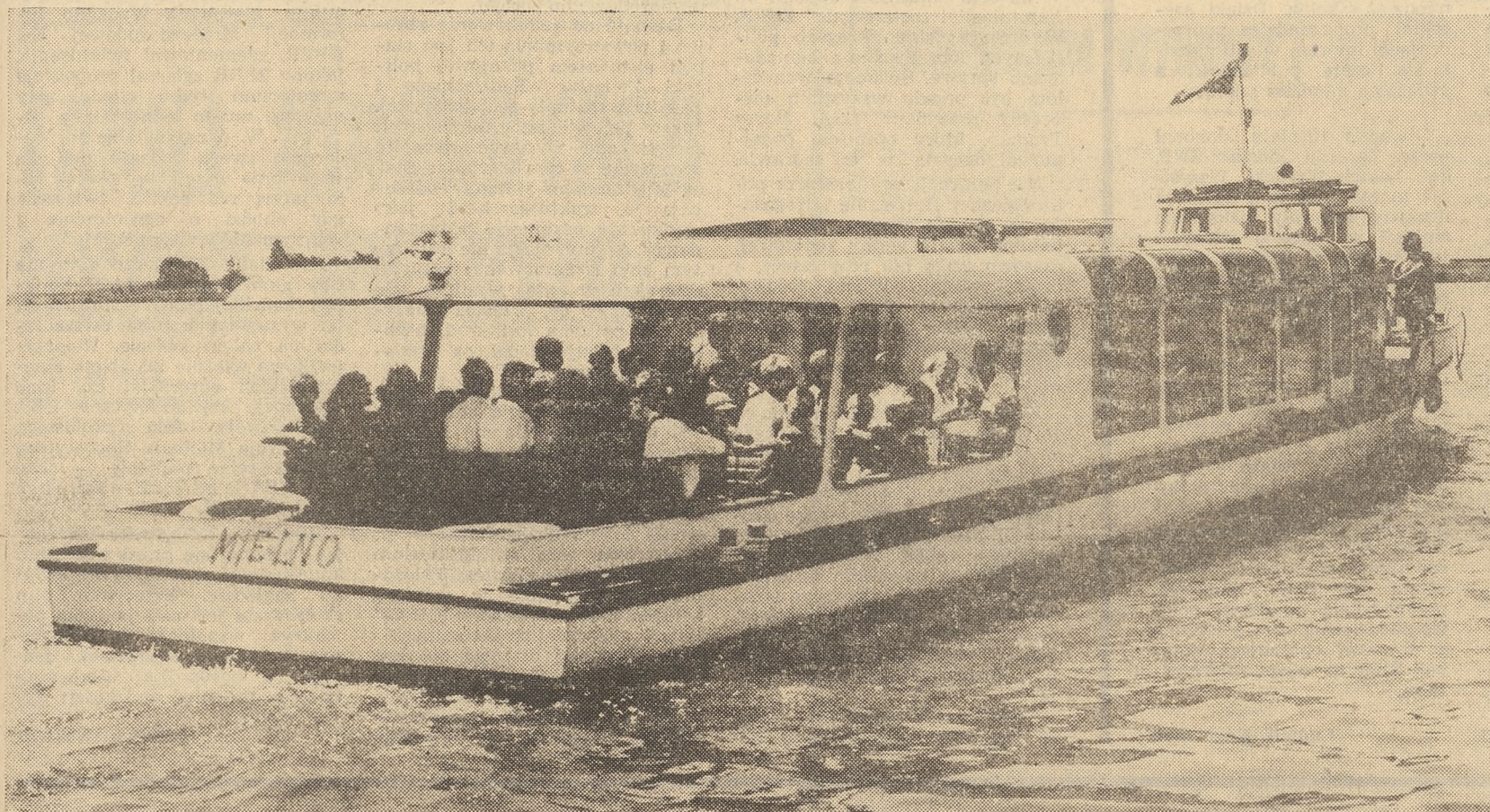


GŁOS

NAUCZYCIELSKI

Ponadto w numerze:

- ZROBIĆ TEN KROK
po moratorium
na eksplozje nuklearne
- JAK WYPOCZYWAMY?
- KONSULTACJA
JAKIEJ NIE BYŁO
- ZWIĄZEK W MOIM ŻYCIU
praca konkursowa
- POETĄ SIĘ BYWA...



Kto powiedział, że
w chłodniejsze dni —
a takich nam
tegoroczne lato
nie skąpi —
nad wodą nudy?
Jeśli nawet aura
gorsza, można robić
wzdłuż brzegu długie
spacery, zwiedzać
okolicę, a czasem
zafundować sobie tak
atrakcyjną
przejażdżkę
statkiem. Był
deszcz nie padał...
A gdy tylko słońce
przygrzeje —
wiadomo: plaża
i kąpiel!

Fot. Cz. Górski

CZYNY SPOŁECZNE NIE UMIERAJĄ

JERZY KRAŚNIEWSKI

AŻ CIASNO OD INICJATYW

Jechałem do Lublina pełen obaw i pytań. Czy po tym wszystkim, co się w kraju wydarzyło w ostatnich kilka latach, po rozluźnieniu się a często zerwaniu różnego typu międzysrodowiskowych więzi, ludzie zachowali jeszcze jakąś porcję społecznikowskich pasji, by pomagać szkole? A jeśli już coś się w nich kołata, to czemu mieliby koncentrować swój wysiłek w wolnym czasie akurat na oświacie, skoro tyle dziedzin wokół wymaga wsparcia i wzmożonej gospodarskiej troski? Przekonałem się później, że podobne uczucia to-

warzyszyli członkom prezydium Krajowego Komitetu Narodowego Czynu Pomocy Szkole, którzy jechali na Lubelszczyznę zwabieni famą o tym, co się tam dobrego dzieje.

Region ten znany był ongiś z wielu inicjatyw społecznych na rzecz szkoły, a na przykład ruch opiekuństwa zakładów pracy nad placówkami oświatowymi rozkwitł już w końcu lat pięćdziesiątych. To właśnie tu powstała pierwsza w kraju wojewódzka rada szefostw. Jej członkowie wzięli na siebie nieznane, trudne obowiązki koordy-

nacji i inspirowania działań, upowszechniając najbardziej pożyteczne inicjatywy. Ale to wszystko zaczęło się i działać dość dawno, a formy pracy zmieniały się po wielokroć aż do końca lat siedemdziesiątych, kiedy to scentralizowano sterowanie tym ruchem. Na dobre mu to nie wyszło. Jak więc jest dziś?

KOŁO RATUNKOWE

Sytuacja w lubelskiej oświacie jest trudna pod wieloma względami, zwłaszcza głód lokalowy doskwiera nie mniej niż w innych regionach kraju. W latach 1981-84 zbudowano tylko 25 placówek, gdy tymczasem tyle należałoby wznosić co roku, by zaspokoić potrzeby. Narastały one od szeregu lat, a ostatnio stan stał się alarmujący, ponieważ przedszkola i szkoły podstawowe rozpierane są przez roczniki wyżu demograficznego. Takie rozpieranie też ma swoje granice. Wojewoda lubelski, **Tadeusz Wilk**, informuje, że wciąż rosną kwoty przeznaczone na oświatę. Jeśli w 1983 r. stanowiły one 11,5 proc. budżetu, to w 1985 r. wynoszą 16,5 proc., co w przeliczeniu na pieniądze oznacza 1789 mln złotych. Jednocześnie, zgodnie z umową zawartą ze spółdzielczością mieszkaniową, na budowę szkół i przedszkoli w osiedlach przeznaczono 1562 mln złotych. Przedsiębiorstwa budowlane wnoszą 51 obiektów, 8 powstaje czynnem społecznym. Do tej ostatniej liczby jeszcze powrócę.

Zaplanowano więc zbudowanie w latach 1984-1994 około 236 szkół i placówek oświatowych, w tym 4,8 tys. mieszkań dla nauczycieli. Planować jednak łatwiej, niż budować, z uwagi na wciąż rosnący nacisk tysięcy rodzin czekających na mieszkania, nie mówiąc o niemałych potrzebach inwestycyjnych przemysłu i rolnictwa.

Inicjatywa powołania Narodowego Czynu Pomocy Szkole zdała się wielu działa-

czom jakby swego rodzaju kołem ratunkowym. Wiedzieli i nadal zdają sobie z tego sprawę, że na tej drodze wszystkiego się nie załatwi z uwagi na ruch cen i brak materiałów, ale zawsze będzie lżej. Jeśli na przykład ludzie sami zbudują małą szkołę, jak to ma miejsce we wsi Wandzin, to siły i środki, jakie tam trzeba by ulokować, można spożytkować gdzie indziej, wzbogacając stan posiadania. Zarazem działacze obserwujący wysiłki władz oświatowych i nauczycieli, zdawali sobie sprawę, że współczesnej szkole potrzebne są nie tylko lokale, ona oczekuje też na inne rodzaje wsparcia. I te inne oczekiwania też trzeba uświadomić między innymi rodzicom i reprezentantom dużych centrów przemysłowych.

Rozwój wydarzeń w Lublinie — był nadszybczy. W październiku ubiegłego roku powołano Wojewódzki Komitet Narodowego Czynu Pomocy Szkole. Jego trzon stanowili członkowie Komisji Oświaty PRON, która istniała pięć miesięcy. Pracami komitetu kieruje **Tadeusz Kącki** wraz z 10-osobowym prezydium. Powołano 4 sekcje: Finansową (przew. **Włodzimierz Kosacki**), Przyjaciół Szkoły i Rodziny (przew. **Stanisława Witkowska**), Edukacji Społecznej (przew. **Józef Dzioba**) i Podnoszenia Efektywności Nauczania i Wychowania (przew. **Maria Berzyńska**). Sekcje są inspiratorami odpowiednich nurtów działań w całym regionie.

ODZEW

Społeczeństwo odpowiedziało prawie natychmiast na apel komitetu. Poszczegól-

■ WE WRZEŚNI

W czerwcu Zarząd Oddziału ZNP we Wrześni wspólnie z Okręgową Komisją Historyczną w Poznaniu zorganizował Zjazd Nauczycieli Tajnego Nauczania. Spotkanie 50 uczestników tajnego nauczania z terenu woj. poznańskiego w Klubie Nauczyciela ZNP miało symboliczną wymowę, ze względu na słynny strajk dzieci wrzesińskich w obronie polskiej mowy.

Prezes ZO ZNP, kol. Bernard Baron, przypomniał, iż na ogniwach i na działaczach ZNP spoczywa obowiązek uchronienia dorobku konspiracji oświatowej od zapomnienia. Zebrani obejrżeli interesujący program słowno-muzyczny przygotowany przez młodzież ze Szkoły Podstawowej im. Dzieci Wrzesińskich.

Dr B. Grześ dużo miejsca poświęcił specyficznej sytuacji konspiracji oświatowej na terenie Wielkopolski, wysunął też wiele postulatów badawczych w celu opracowania nieznanych dzieł tajnego nauczania. Dr Ludwik Gomolec przedstawił program działania Klubu Tajnego Nauczania Okręgowej Sekcji Emerytów ZNP. Ambitne plany wydawnicze wymagają dotarcia do źródła uczestników konspiracyjnego szkolnictwa.

Kol. Franciszek Ginter zasignalizował istotny moment spontanicznego organizowania tajnego nauczania przez różne organizacje polityczno-społeczne działające w konspiracji. F. Ginter wskazał, że obok ważnej działalności merytorycznej Klub Nauczycieli Tajnego Nauczania powinien podjąć więcej działań dla poprawy sytuacji socjalno-bytowej uczestników.

Kol. kol. Włodzimierz Murski, Nikodem Piechowiak, Helena Deptuła, Zygmunt Stanisławski, Jadwiga Laurentowska mówili o osobistych przeżyciach i doświadczeniach z lat pracy w tajnym nauczaniu.

Jerzy Miller

■ W SULECHOWIE

Zarząd Oddziału ZNP w Sulechowie w początkach stycznia 1985 r. opracował szeroki

program z obchodów 80-lecia powstania ZNP. Postanowiono jubileusz uczcić różnego rodzaju imprezami, a przede wszystkim sportowymi. Do programu włączono. Turniej Brydża Sportowego, Turniej Tenisa Stołowego oraz Turniej Szachowy. Imprezy te cieszyły się znacznym powodzeniem.

Na szczególną jednak uwagę zasługuje zorganizowany 16 i 17 czerwca br. Międzynarodowy Turniej Piłki Siatkowej. W tymże turnieju na zaproszenie organizatora, którym był Zarząd Oddziału ZNP w Sulechowie, wzięli udział: dwie drużyny nauczycieli żeńska i męska z Okręgu Cottbus, dwie drużyny z Zarządu Oddziału w Nowej Soli (żeńska i męska) oraz drużyna męska ze Świebodzina. Organizatorzy wystawili dwie drużyny — żeńską i męską.

Turniej odbył się w sali pięknie udekorowanej hasłami przyjaźni i współpracy. Na imprezę zaproszono miejscowe władze polityczne i administracyjne, dyrektorów szkół, nauczycieli, pracowników oświaty i wychowania oraz młodzież szkolną. Dzięki szerokiej propagandzie poprzedzającej imprezę w sali zjawiała się licznie publiczność, a zwłaszcza młodzież szkolna.

Otwarcia turnieju dokonał prezes Zarządu Oddziału ZNP, kol. Leszek Wysocki. Wszystkie biorące udział w turnieju drużyny wykazały maksimum ambicji w walce o zwycięstwo, jak najlepszą lokatę. Zwycięzcy otrzymali atrakcyjne nagrody, a pokonani — dyplomy i upominki.

Zakończenie turnieju odbyło się również uroczystie, rozdano nagrody, upominki, dyplomy oraz zdjęcia z przebiegu turnieju. Zwycięzcy z Sulechowa i drużyna męska z Nowej Soli. W przyszłości zorganizowany zostanie festyn dla rodzin nauczycielskich i pracowników oświaty i wychowania oraz sesja naukowa, przewidziana na drugą połowę października br., połączona z wystawą obrazującą dorobek ZNP na ziemi sulechowskiej.

Ludwik Kochaniak

ZROBIĆ TEN KROK

Rocznica atomowego ataku na japońskie miasta Hiroszimę i Nagasaki należy do najtragiczniejszych w dziejach ludzkości. Upamiętnia nie tylko dramat śmierci dziesiątków tysięcy niewinnych ludzi. Jest to rocznica użycia przeciwko człowiekowi broni nowego typu — masowego rażenia niosącej zagładę takiej liczbie ludzi jak nigdy dotychczas.

Wszyscy zdajemy sobie sprawę z tego, co może oznaczać obecnie użycie udoskonalonych i o wiele potężniejszych, niż przed 40 laty, środków niszczenia. Groźba ich użycia nie jest wymysłem propagandzistów, czy polityków. Realnie wisi ona nad światem. To zagrożenie dla świata stwarzają rzecznicy amerykańskiego kompleksu wojskowo-przemysłowego bogacący się na rozbudowie coraz nowocześniejszych systemów broni i dążący do zapewnienia Stanom Zjednoczonym globalnej hegemonii.

Zrzucona przed laty bomba atomowa miała — jak wiadomo — na celu zmuszenie Japonii do kapitulacji i „ostrzeżenie” ZSRR. W amerykańskich kręgach politycznych dobrze sobie z tego zdawano sprawę. Świadom tych celów był przede wszystkim ówczesny prezydent USA, Harry Truman, który osobiście podejmował decyzję w tej sprawie.

Nie bez racji w literaturze politycznej Horoszimę i Nagasaki określa się czasem jako preludium do III wojny światowej, czasowo tylko nie rozpoczętej, a prowokowanej różnymi środkami. Wyrazem tego była ongiś zimna wojna potęgująca groźbę konfliktu między państwami kapitalistycznymi a socjalistycznymi.

Zimna wojna i broń atomowa miały ogromny wpływ na politykę amerykańską. Dramatyczne pytanie kapitana Roberta Lewisa jednego z pilotów samolotu „Enola Gay”, który zrzucił bombę atomową na Hiroszimę — a brzmiące: „Mój Boże, cożemy uczynili?” — doczekało się odpowiedzi w postaci powstania amerykańskiego „państwa wojny”, przekształcenia Stanów Zjednoczonych w potęgę dążącą do podporządkowania sobie całego świata.

Celowi temu służyć miał przede wszystkim rozbudowany po-

tencjał nuklearny i stale powiększane siły zbrojne. Uzasadnienie dla takiej a nie innej polityki wypracowywały sztaby „akademickich strategów” w rodzaju Hermana Kahna. Oni to — podobnie jak bohater amerykańskiego filmu „Dr Strangelove” — wysuwali tezę, że broń jądrowa jest zupełnie normalną bronią, do której można się „przyzwyczaić”, że można prowadzić, nawet wygrywać konflikty nuklearne.

Na broni atomowej oparta jest amerykańska koncepcja polityki militarnej. Jej kwintesencją jest „równowaga strachu”, groźenie przeciwnikowi użyciem broni nuklearnej. „Odstraszanie” miało przejść znaczną ewolucję od „zmasowanego odwetu” do późniejszej „elastycznej reakcji” czy wręczcie reaganowskich „ograniczonych wojen nuklearnych”. Taka polityka zawsze budziła sprzeciw sił postępowych. Pisarze, intelektualiści i politycy wstępowali z różnymi apelami, by zahamować ten obłędny trend, zmuszający całą społeczność międzynarodową do zbrojeń.

Dążność do redukcowania zbrojeń i powstrzymania ich jest stałym elementem pokojowej polityki Związku Radzieckiego i państw wspólnoty socjalistycznej. Już w połowie lat czterdziestych zaczęły one wysuwać rozmaite propozycje w tym kierunku. Stany Zjednoczone z reguły odrzucają je, traktując każdą jako „radzieckie posunięcie propagandowe”. Argumentacja nie jest przy tym zbyt rozbudowana: eksperci amerykańscy nie wysilają się zbyt. Po co, przecież amerykańska polityka militarna, bazowała i bazuje nadal na nuklearnym „odstraszaniu”.

Trudno by się właściwie dziwić, iż administracja amerykańska odrzuciła niedawne moratorium radzieckie na próby z bronią jądrową. Radziecki przywódca, Michaił Gorbaczow, zapowiedział, iż ZSRR zaniecha dokonywania takich eksperymentów od 1 stycznia 1986 r. Moratorium wchodzi w życie z dniem 6 sierpnia br., dokładnie w rocznicę zrzucenia przez samolot „B-29” bomby atomowej na Hiroszimę.

Ta zbieżność czasowa nie jest przypadkowa. Tragedia japońskich miast wciąż ostrzeża; trzeba wreszcie wyciągnąć praktyczne wnioski. Zaprzymanie wyścigu

zbrojeń jest możliwe, a zaniechanie doświadczalnych eksplozji miałyby ogromne znaczenie, ponieważ mogłoby to być wstępem do zahamowania rozwoju technologicznego nowych głowic.

W trakcie konferencji prasowej w Moskwie zwrócono uwagę na korzyści, jakie przyniosłoby przyjęcie przez USA radzieckiej propozycji. G. Kornijenko, wice-minister spraw zagranicznych ZSRR, nawiązał do propozycji prezydenta Reagana w sprawie udziału przedstawicieli ZSRR w jednej z amerykańskich prób z bronią jądrową. Kwestionując sens takiego przedsięwzięcia, podkreślił on, iż eksplozje należy powstrzymać, a nie zapraszać na nie obserwatorów.

Same Stany Zjednoczone — jak wynika z danych Sztokholmskiego Międzynarodowego Instytutu Badań Pokojowych — przeprowadziły do chwili obecnej około 1/3 eksplozji nuklearnych więcej niż ZSRR, a NATO jako całość ma półtorakrotną przewagę w tym zakresie. Występujący na tej samej konferencji L. Zamiatin, kierownik Wydziału Informacji Międzynarodowej KC KPZR, zdementował twierdzenie, jakoby ZSRR zgłaszał propozycje moratorium tylko wtedy, gdy przynosi mu to jednostronne korzyści. W Waszyngtonie wypracowano swego rodzaju politykę negocjowania wszelkich pokojowych inicjatyw radzieckich, zwłaszcza gdy chodzi o ograniczenie i wstrzymanie wyścigu zbrojeń.

Ale Stany Zjednoczone to nie cały glob ziemski. Przeciwno amerykańskiej polityce zbrojeń od lat występują szerokie rzesze ludzi na całym świecie. Nieprzypadkowo właśnie instalacja amerykańskich euroraket czy inne koncepcje militarystyczne USA spowodowały falę protestów. Propozycja Michaiła Gorbaczowa zyskała sobie poparcie — choć rząd USA ją odrzucił — szerokich rzesz ludzkich.

Hiroszima i Nagasaki ostrzegają — brońmy się przed wszelkimi koncepcjami prowadzącymi świat ku zagładzie. Przeciwno nim skierowana jest cała polityka pokojowa wspólnoty socjalistycznej, dążąca do zapewnienia jednego z najbardziej fundamentalnych pragnień ludzkości: życia w pokoju.

LECH KAŃTOCH

ŚWIAT

NIE BYŁO ZWYCIĘZCÓW I POKONANYCH

Dla nikogo chyba nie ulega wątpliwości, iż Konferencja Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, która obradowała w Helsinkach przed 10 laty, była wydarzeniem bez precedensu w dziejach świata. Już sam fakt zgromadzenia przedstawicieli 35 państw, w tym ZSRR i USA oraz Kanady, przy stole obrad poświęconych problemom o kluczowym znaczeniu nie tylko w skali jednego, europejskiego kontynentu, lecz także dotyczących wielu palących problemów świata, świadczy o wadze tego spotkania.

Była to konferencja, na której nie było dyktowania warunków pokonanym przez zwycięzców, a więc taka, jakich wiele odmówiała historii. Nie dokonywano na niej zmiany granic ani narzucania sposobów rządzenia czy osiągania korzyści przez jedne państwa kosztem innych. Konferencja ta uwzględniała interesy wszystkich państw uczestniczących, ich bezpieczeństwo i wzajemnie korzystną współpracę. Do jej zwołania doszło dzięki wieloletnim wysiłkom państw wspólnoty socjalistycznej.

Trzeba podkreślić, iż postanowienia z Teheranu, Jałty i Poczdamu stanowią trwały fundament pokoju w Europie. Próby ich podważenia, jakie miały miejsce w czasie zimnej wojny, prowadziły do napięć i otwierały drogę do konfrontacji.

Jest rzeczą charakterystyczną, że prawie po 30 latach poszukiwań gwarancji

bezpieczeństwa i pokoju w Europie — właśnie podczas KBWE uroczystie potwierdzono polityczny i terytorialny kształt Europy ustanowiony w Jałcie i Poczdamie. Co więcej, w Helsinkach — przyjęto dokument będący w rzeczywistości czymś więcej niż tylko deklaracją intencji. Był to zarazem konkretny program pokojowego rozwoju stosunków międzynarodowych we wszystkich ważniejszych dziedzinach życia.

O sukcesie KBWE zadecydowała jednak dobra wola zmęczonych „życiem na sterach broni” wszystkich narodów Europy. Idee pokojowego współistnienia przyniosły po latach napięć zimnej wojny i chłodnych stosunków dyplomatycznych ulgę i nadzieję. Stąd też często mówi się o procesie KBWE, ponieważ nie jest to jednoznaczne wydarzenie, lecz wieloletnie działania dyplomatyczne.

Genezy procesu KBWE należy szukać nie tylko w koncepcjach politycznych państw socjalistycznych, lecz także w praktycznej realizacji wielostronnych postanowień dotyczących kluczowych problemów europejskich. Były to przede wszystkim układy normalizacyjne zawarte między ZSRR i PRL a RFN w 1970 r., czterostronne porozumienie w sprawie Berlina Zachodniego, dokument „podstawy stosunków wzajemnych między USA a ZSRR” podpisany w Moskwie w 1972 r.

Do pierwszego spotkania — w ramach cyklu konsultacji — doszło w gmachu Dipoli pod Helsinkami 22 listopada 1972 r. na szczeblu ambasadorów. Zalecenie dla przyszłej konferencji przyjęto w czerwcu 1973 r. Natomiast 3—6 lipca tegoż roku w Helsinkach zebrał się szefowie dyplomacji

państw uczestniczących. Była to tzw. I faza KBWE. Drugą stanowiły wielomiesięczne negocjacje przeniesione z Genewy. Kolejna faza, a faktycznie posiedzenie końcowe miało miejsce w Helsinkach między 30 lipca a 1 sierpnia 1975 r. Uczestniczyli w niej szefowie państw i rządów 35 państw.

Od samego początku negocjacji zarysowały się różnice stanowisk wynikające z odmiennego systemu ustrojowego państw uczestniczących. Do czasów KBWE — a także i dziś — w praktyce istnieją dwie przeciwstawne koncepcje bezpieczeństwa: NATO-wska — oparta o dawne kanony dyplomacji — prowadzenia polityki z pozycji siły, wyścigu zbrojeń i konfrontacji oraz Układu Warszawskiego postulująca równe bezpieczeństwo poprzez równowagę sił na jak najniższym poziomie oraz poprzez wzajemnie korzystną współpracę między państwami o różnych ustrojach. Poza tym znaczne różnice wystąpiły w zakresie kontaktów i odpowiedzialności za nie w sferze między państwowej. Różnice stanowisk wystąpiły też przy interpretacji wypracowywanych, a później przyjętych postanowień.

Mimo tak wielu różnic zadecydował wspólny interes — wspólne bezpieczeństwo i zarysowujące się perspektywy ogólnoeuropejskiej współpracy. Konferencja miała wielostronny, demokratyczny charakter. Głos każdego uczestnika miał taką samą wagę, bez względu na to, czy był to państwo o globalnym znaczeniu — jak ZSRR i USA, czy „karzełki” — w rodzaju Liechtensteinu, San Marino itp. Poza tym obowiązywała zasada „consensus”, to znaczy braku sprzeciwu wobec określonych kwestii.

Trudne problemy podzielono na trzy grupy: polityczno-wojskowe problemy bezpieczeństwa; współpraca gospodarcza, naukowo-techniczna i ochrona środowiska; kontakty, informacja, kultura i oświata. Te trzy „koszyki”, jak je nazywano, uzupełniał czwarty poświęcony sprawom pokonferencyjnym, mechanizmom zapewniającym kontynuację wielostronnego procesu w przyszłych latach.

To zapewnienie ciągłości miało ogromne znaczenie dla przyszłości Europy. Stanowiło bowiem jeden z elementów utrzymania ogólnoeuropejskiego dialogu, jego przetrwania mimo wysiłków podjętych przez przeciwników odprężenia, którzy jeszcze w połowie lat siedemdziesiątych podjęli działania, by stordedować współpracę. Nie da się ukryć, iż w ten sposób odżywają tradycyjne koncepcje, żywnione przez koła polityczno-militarne Stanów Zjednoczonych, powrotu do czasów dominacji nad światem. Podporządkowywania sobie nie tylko swych sojuszników, lecz także wywierania presji na innych, w tym również na państwa socjalistyczne.

Ogólnoeuropejski dialog nie jest jednak procesem samodzielnym, niezależnym od sytuacji na świecie. Ma ona wpływ na jego kształt i formy, są wzloty i negatywy (w rodzaju antypolskich restrykcji podjętych wbrew Aktowi Końcowemu). Można jednak liczyć, iż zadecydują wspólne interesy. Spotkanie się w Helsinkach przedstawicieli dyplomacji Wschodu i Zachodu, państw neutralnych i niezaangażowanych, będzie ważnym wydarzeniem. Poprzedzi ono genewskie spotkanie Michaiła Gorbaczowa z Ronaldem Reaganem.

Nie należy jednak przeceniać znaczenia dyskusji w stolicy Finlandii, zwłaszcza jeśli zważyć na kilkuletnie napięcia, jakie spowodowała polityka państw NATO. Przyniosła ona wiele szkód dla świata, stosunków Wschód — Zachód. Dialog europejski został w poważny sposób zakłócony, ale nie przerwany. Może więc obecnie powstrzymanie zostanie negatywna tendencja, przewaga wezmą elementy realizmu. Tego oczekuje od Helsinek cała Europa, a z nią cały świat. (LEK)

TRZY DNI W STOLICY

gościli w końcu lipca nauczyciele z woj. ostrołęckiego — działacze ZMW i opiekunowie młodzieżowych kół tego związku. Czas to za krótki, aby dokładnie zwiedzić duże miasto — ale jeśli się dobrze skonstruuje program i wypełni szczerze różnorodnymi zajęciami, okazuje się, że wiele można zobaczyć i sporo nauczyć. A organizator seminarium — Zarząd Wojewódzki Związku Młodzieży Wiejskiej w Ostrołęce — zadbał o to, aby pobyt w stolicy był pożyteczny, a równocześnie atrakcyjny. Kierownikiem seminarium był znany czytelnikom z łamów „Głosu” nasz korespondent — dr Stanisław Pajka, zaś wśród uczestników znalazł się także sam przewodniczący Zarządu Wojewódzkiego ZMW — Czesław Ceberek, a przez dwa dni wicekurator oświaty i wychowania, kol. Tadeusz Zaniewski.

W programie pobytu w Warszawie przewidziano szereg interesujących spotkań, między innymi z Tadeuszem Lewowickim, Bronisławem Gołębiowskim, Waldemarem Kamińskim, przedstawicielką Rady Krajowej ZMW — Małgorzatą Raczynską. Również przedstawicielka kierownictwa „Głosu”, red. Maria Rybarczyk, została zaproszona na spotkanie, w czasie którego rozmawialiśmy o problemach szkoły i nauczyciela. Także o piśmie, sposobie jego redagowania, o zamierzeniach redakcji. Godziny popołudniowe wypełniono zwiedzaniem najpiękniejszych zabytków miasta — Zamku Królewskiego, Łazienek, Starego Miasta. Zainteresowanie wzbudziła wystawa w „Zachęcie” oraz ciekawy spektakl teatralny. Oby więcej takich kształcących spotkań nie tylko w Warszawie, ale także w innych pięknych regionach kraju. (m)



Fot. M. Suchecki

NIE ZABRAKNIE OPINII NAUCZYCIELI

TAKIEJ KONSULTACJI JESZCZE NIE BYŁO

We wtorek, 30 lipca br., w czasie cotygodniowej konferencji z dziennikarzami zagranicznymi rzecznik prasowy rządu, minister Jerzy Urban, powiedział między innymi, że delegacji Polski na 40 sesję Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych przewodniczyć będzie premier — Wojciech Jaruzelski. Jubileuszowa sesja zgromadzi w końcu września w Nowym Jorku także wielu innych szefów państw lub rządów. Przemówienia dotyczyć mają kluczowych spraw międzynarodowych.

Szef delegacji polskiej będzie drugim z kolei mówcą w debacie generalnej i przemówi jako pierwszy spośród przedstawicieli krajów socjalistycznych.

Generał armii, Wojciech Jaruzelski, przedstawi opinie narodu polskiego w kluczowych kwestiach dzisiejszego świata. Wypowiedziany zostanie pogląd Polski na współczesną sytuację międzynarodową, określone zostaną główne założenia polskiej polityki zagranicznej. Premier przedstawi zapatrywania Polaków na zasadnicze problemy bezpieczeństwa naszego kraju, w tym również na kwestie bezpieczeństwa ekonomicznego Polski.

Prezes Rady Ministrów Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej — nim wyrazi w ONZ głos narodu — poznać pragnie szczegółowo opinie obywateli. Dlatego przedstawienie stanowiska socjalistycznego państwa polskiego poprzedzone zostaje konsultacją społeczną.

Każdy, kto tego pragnie, może przekazać listownie bądź telefonicznie swoje poglądy na tematy, które będą treścią przemówienia preza Rady Ministrów w ONZ: sytuacji międzynarodowej, niepokoju z nią związanych, pozycji Polski w świecie i naszego wkładu w globalny ład pokojowy. Opinie przedstawicieli społeczeństwa staną się też pomocne w przygotowaniu delegacji polskiej, która w siedzibie Narodów Zjednoczonych prowadzić będzie ważne rozmowy polityczne.

Rząd Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej przeprowadzał już liczne konsultacje ze społeczeństwem. Dotyczyły one wielu dziedzin polityki, głównie wewnętrznej. Konsultacje wniosły wiele cennych wartości. W szerokim zakresie współkształtowały politykę rządu. Głos każdego obywatela był ceniony i został uważnie przestudiowany. Nie wszystkie propozycje były i mogą być przyjęte. Ich suma stanowiła zawsze jednak impuls pozwalający nadać ważnym rozstrzygnięciom kierunek uwzględniający opinie i dążenia większej części opinii publicznej. Podobna współodpowiedzialność i współuczestnictwo pożyteczne będą w kształtowaniu głosu socjalistycznej Polski na arenie międzynarodowej, wzbogacą prezentację naszej racji stanu — powiedział Jerzy Urban.

Opinie i propozycje wysyłać należy pod adresem: Prezes Rady Ministrów PRL, generał armii Wojciech Jaruzelski, Aleje Ujazdowskie 1/3, 00-583 Warszawa.

W każdy wtorek i czwartek przypadający między dniem 1 sierpnia a 15 września br. od godz. 15 do godz. 17 opinie i propozycje przekazywać można telefonicznie pod numerem 41-38-32.

Jednocześnie premier, Wojciech Jaruzelski, polecił dyrektorowi Centrum Badania Opinii Społecznej przeprowadzić szerokie, reprezentatywne, szczegółowe badania opinii publicznej w zakresie związanym z tematem obecnej konsultacji społecznej. Wyniki konsultacji zostaną ogłoszone.

Jesteśmy przekonani, że wśród nadsyłanych opinii i refleksji nie zabraknie głosów nas, nauczycieli. Wasze opinie — drodzy Czytelnicy, możecie wysyłać bezpośrednio pod adresem premiera Wojciecha Jaruzelskiego, możecie też Wasze refleksje nadsyłać pod adresem redakcji. Wasze opinie będziemy drukować, a numery „Głosu Nauczycielskiego” z Waszym tekstem — prześlemy. Czekamy na Wasze listy!

KALENDARIUM WYBORCY

- POZĄTEK DRUGIEJ TURU KAMPANII
- POZNAJEMY KANDYDATÓW
- PRZEDSTAWIAMY IM SVOJE POSTULATY

Już w czwartek, 15 sierpnia, rozpoczynamy drugą turę kampanii wyborczej. Pierwszą stanowiła wewnętrzna eliminacja, dokonywana przez partie i organizacje, zgłaszające kandydatów oraz wstępny (jak słyhać, bardzo wstrzemięźliwie przeprowadzony) odsiew w wojewódzkich konwentach wyborczych. Teraz nasi kandydaci staną twarzą w twarz z wyborcami, poznamy również innych, zaproponowanych przez współobywateli naszego okręgu, a także krajową pięćdziesiątkę.

Jest to decydująca o składzie i programie działań przyszłego Sejmu faza kampanii wyborczej. Zatem zebrania powinny stanowić okazję do pełnego zorientowania się przez każdego z nas, którzy z przedstawionych kandydatów dają najpełniejszą gwarancję spełnienia pokładanych w nich nadziei. Myśle, że najistotniejsze będzie to, jak oni sami będą widzieli swoją rolę w Sejmie, jakie będą proponowali metody rozwiązywania problemów. Cele bowiem, jak uczy doświadczenie, od wielu lat stawiamy sobie ze wszech miar słuszne, bez trudu zyskujące powszechne poparcie. Fakt, że tak często cele te nie były osiągnięte — lub zmierzano do nich drogami, które nie zyskały społecznej akceptacji — każe zwrócić dużą uwagę także na to, jakie metody działania, zmierzania do celu proponują kandydaci na posłów.

Istnieje także, rzadko dość używane określenie: „cnoty obywatelskie”. Składają się na nie zarówno nieposzlakowana opinia o życiu

prywatnym i pracy zawodowej, jak bezinteresowne społecznikostwo, zaangażowanie się w działania na rzecz ogółu i wrażliwość na ludzką niedolę, umiejętności organizatorskie i znajomość najistotniejszych problemów swego środowiska i regionu. Warto wzorzyć tak pojmovanych cnót obywatelskich przyłożyć do naszych kandydatów. A przede wszystkim trzeba ich poznać, pójść na spotkanie. Każdy z nas ma bowiem trochę inne kryteria oceny człowieka i by świadomie wybrać najlepszego, trzeba go poznać, osobiście wyrobić sobie o nim zdanie.

Terenowe ogniwa PRON mają, zgodnie z ordynacją (art. 55), obowiązek już na początku okresu konsultacji obywatelskich opracować harmonogramy zebrań i podać je do wiadomości wyborców. Warto się z tymi terminami zapoznać, zarezerwować sobie czas na uczestnictwo w spotkaniu. Oczywiście, wszędzie tam, gdzie będą kandydowali członkowie Związku, działacze oświatowi — nasza obecność na zebraniu jest niejako organizacyjnym obowiązkiem. A zebrania te — pozbawione elementu rywalizacji o względy wyborców stwarzają szansę spokojnej rozmowy o programie, o widzeniu przez kandydata swego ewentualnego miejsca w przyszłym sejmie.

Warto jeszcze pamiętać o jednym. Choć na spotkaniach nie zawsze będziemy mieli okazję do rozmowy z wszystkimi kandydatami z naszego okręgu, to informację uzyskamy o wszystkich, także tych z listy krajowej. Uwagi również możemy zgłaszać do wszystkich. I choć myślę, że nie oni będą tu najważniejsi (pamiętajmy, chodzi tylko o 50 posłów na 460-osobowy Sejm), to zmianieniem nowych czasów jest to, że po raz pierwszy od 40 lat każdy obywatel będzie mógł głośno i publicznie wypowiedzieć się o czołowych osobistościach państwa. KAL

OD REDAKCJI: W dniu, w którym oddajemy ten numer do druku, obraduje XXI Plenum KC PZPR poświęcone zadaniam partii w kampanii wyborczej do Sejmu. Do jego treści wrócimy w najbliższym numerze.

OPINIE

I ZNÓW BRAK PODRĘCZNIKÓW

Wprawdzie końca wakacji jeszcze nie widać, ale nowy rok szkolny coraz bliżej. Coraz częściej więc myślimy, co ten nowy rok przyniesie. A okazji do refleksji jest sporo, wakacje nie są całkiem sezonem ogorkowym dla oświaty. Zapadły ociekiwane przez nauczycieli decyzje w sprawie kolejnej regulacji uposażeń, szczególnie korzystne dla tych, którzy przepracowali w zawodzie ponad 30 lat i chcą pozostać w nim dłużej.

W 6350 ośrodkach oświatowych trwają w czasie wakacji intensywne prace remontowe, jeszcze więcej placówek poddano drobnym naprawom. Odswieża się je i usuwa usterki. Jeśli dobrze pójdzie — jeszcze w sierpniu oświacie przybędzie 114 nowych przedszkoli, 105 szkół podstawowych, 6 zawodowych, 9 warsztatów szkolnych oraz 5 internatów. Nie zaspokaja to potrzeb, ale cieszy każda gotowa inwestycja.

Prawdziwe zagrożenie niesie natomiast zapowiedziany brak dużej liczby podręczników. Zgodnie z planem — 1 września przedszkola i szkoły podstawowe powinny otrzymać ponad 25 mln egzemplarzy. Do końca czerwca wydrukowano 18 mln. Trudno przypuszczać, aby w okresie wakacji nadrobiono owe braki, są zbyt duże. Trzeba się więc liczyć z tym, że z wielu przedmiotów lekcje trzeba będzie prowadzić bez podręcznika, przynajmniej przez pewien czas. Jak to robić — trudno powiedzieć. Starsi, doświadczeni nauczyciele, jakoś sobie poradzą, ale młodzi mogą stanąć przed problemami nie do rozwiązania.

Można żywić nadzieję, że po odbytych w końcu lipca posiedzeniu Prezydium Rządu, na którym omawiano stan przygotowań do nowego roku szkolnego, coś nieoczekiwanie

sierpień przyniesie znaczny postęp w produkcji. Ale nie zlikwiduje zapewne wszystkich opóźnień, które wynikają przede wszystkim z niedoboru papieru i tektury, nie mówiąc już, że ich dostawy są wciąż nierytmiczne.

Problem, jak widać, powtarza się od lat, i mimo ciągłych zapowiedzi zmian, na lepsze się nie zanosi. I ciągle to samo: niedobory papieru — choroba wszystkich wydawnictw. Czy jednak takie argumenty przekonują? Nie sposób w to uwierzyć, aby nie udało się zapewnić papieru na podręczniki kosztem innych, nie aż tak niezbędnych wydawnictw. Na naszych łamach wskazywaliśmy niejednokrotnie pozycje, które nie powinny być drukowane w sytuacji papierowego głodu. Nie raz przekonywaliśmy, aby przy ograniczonych zasobach papieru — jego rozdzielnictwo trzymał ściśle w ręku jeden dysponent, ściśle nadzorujący gospodarkę papierową. I czuwający nad tym, aby produkcja podręczników miała znaczne preferencje nad inną, z którą miesiąc, dwa i więcej można poczekać. A z podręcznikami — nie.

Nie po raz pierwszy piszemy o tym z rozgoryczeniem, ponieważ chodzi o sprawę najważniejszą z ważniejszych. Nie może być przecież mowy o dobrym poziomie nauczania, o zdrowej atmosferze pracy z młodzieżą, skoro już w momencie startu brakuje podstawowych pomocy. A ponieważ sytuacja ta ciągle się powtarza, na żart wyglądają apele o wysoką jakość pracy szkoły. Nie można bowiem osiągać dobrych wyników, nie dysponując podstawowymi narzędziami. A tym staje się w ręku ucznia i nauczyciela podręcznik. Oczywiście, pod warunkiem, że jest.

(MR)

NAUCZYCIELEM JESTEM POETA BYWAM



Rozmowa z WILHELMEM PRZECZKIEM, nauczycielem i poetą z Zaolzia.

— O poecie z Zaolzia można bez umyłu powiedzieć, że mieszka na wyspie... A tu sypie się na Pana grad nagród, których mógłby pozazdrościć każdy twórca urodzony i zamieszkały w kraju. Wymieńmy tylko te najważniejsze: I nagroda w ogólnopolskim Konkursie Jednego Wiersza Warszawskiej Jesieni Poezji 1975, I nagroda w konkursie AZS i PKOl na wiersz o tematyce sportowej 1976, I nagroda w konkursie walbrzyskim o Złotą Lampkę Górniczą 1979, I nagroda w Kłodzku 1980 (Poezja Społecznie Zaangażowana) — i teraz I nagroda z Lubina, w ogólnopolskim konkursie poetyckim 1985. Jeśli się nie mylę — poeta i nauczyciel: tym dwóm drogom pozostał Pan wierny, po meandrach inspektorsko-dziennikarsko-urzędniczych. Jak więc wygląda dzień powszedni poety — nauczyciela?

— Tak, pracuję jako nauczyciel w Jabłonkowie, w dziewięciolat-

niej szkole powszechnej z polskim językiem nauczania. Uczę polskiego w klasach VI — VII, od września będą to klasy V — VI. Lekcje języka polskiego dopełniam do wymiaru etatu lekcjami biologii. Poetą „bywam”, a nauczycielem jestem. Traktuję moje obowiązki poważnie. Dziecka nie można oszukać, ono jest najważniejsze.

Wybrał pan dobrą porę na rozmowę o poezji — wakacje. Z nich żyję przez cały rok literacko. Jako medium tej ziemi i mojej „mniejszej ojczyzny” próbuję nazwać to, co się dzieje; magma pochodzi z notesu, który zawsze noszę przy sobie. W poezji nie ma reguł: raz się odezwie, już się nie powtórzy. Nie ufam sobie, wolę zapisać „długość fali”.

— Pisał Pan kiedyś: „Przetaczam skałę przynależną ziemi przez środek czasu wydartego mrokiem” (Przestroga). Uderzająca wydaje mi się w pańskiej poe-

zji właśnie wierność ziemi, tej jednej, wspólnej, i tej bliskiej, dotykanej, a także wierność swemu czasowi. Mieści się w tym nie tylko twórczość autorska, znacząca tomikami: Czarna calizna, „Wpisane w Beskid”, „Szumne podszepty”, udziałem w almanachach i antologiach, obecnością w czasopiśmie polskim, lecz także potwierdzają to przekłady z czeskiego, słowackiego, rosyjskiego na polski — czy z polskiego na inne języki. Ostatnio np. tłumaczył Pan wiersze ubiegłorocznego „noblisty” Jarosława Seiferta oraz ciekawą, publicystyczną w swych podtekstach sztukę Jilka — „Mój, moja, moje”. Współpracuje Pan stale z Sekcją Literacko-Artystyczną ZG PZKO w Czeskim Cieszynie. Jednym słowem, jest Pan w „środku czasu”, po obu stronach Olzy... Teraz przyjechał Pan do Warszawy, na spotkanie autorskie z uczestnikami czasów literackich organizowanych przez Zakład Usług Socjalnych...

— Nie jestem członkiem Związku Literatów Polskich wskutek przeszkód statutowych, ale czuję się polskim poetą, jest to sprawa honoru; urodziłem się jako oby-

watel Republiki Czechosłowackiej. Poeta pisze, bo musi pisać. Po drugiej stronie literatury musi być ktoś jeszcze. Choć spowiadałem się samemu sobie, nie uprawiam „słowiactwa”, chcę nawiązać kontakt z czytelnikiem. Temat górniczy wyraża moją ziemię, jestem człowiekiem węgla, wydobywam z człowieka. Mam wielu odbiorców wśród górników... Czy był pan kiedyś w Karwinie?

— Mogę odpowiedzieć wymijająco: byłem za pośrednictwem pańskiego obrazu poetyckiego: Kominy stają na palcach, dym za paznokciami. Lampki nadziei płoną w żyłach, fioletowe języczki zaczajone w sztolni („Karwina”). Czytałem także „Psalterz Zaolziański”, więc to tak, jakbym przeszedł po „garbach beskidzkich”. Atutem pańskich wierszy jest uszakże ich uniwersalny wymiar ludzki, ponadregionalny, co udaje się tylko niewielu poetom zd sprawą zindywidualizowania środków wyrazu — i co potwierdza ją nagrody bądź opinie krytyki. Czy pan wierzy w metaforę?

— Próbowałem już kiedyś zmierzyć się z metaforą (Śmierć pomyślnie poetyckiego). Uważam, że poe-

zja bez metafory nie istnieje. Estetyka brzydota albo „sprozaizowania” poezji nie przekonuje mnie. Jeśli mam być szczery, poezja pozostaje dla mnie wyłącznie arkadią!

— O akcie twórczym napisał pan szczerze: „Osobliwe światy suplane mozolnie wychodzą ze słowa i rzeczy”. Dodajmy do tego opieszałość wydawców...

— Już wkrótce powinny ukazać się kolejne tomiki — w Wydawnictwie „Śląsk”. Nauka wierności” i w Wydawnictwie Literackim — „Księga urodzaju”. Ponadto Bielska Oficyna Wydawnicza drukuje wybór mej poezji z lat 1968 — 1985. — „Prawo do słońca”, poprzedzony wstępem S. B. Kundy.

— Dziękuję za rozmowę, życzę wielu czytelników, również wśród Pańskich uczniów na Zaolziu! Zapraszam też Pana do udziału za rok w studium wakacyjnym dla nauczycieli polonistów z Czechosłowacji, organizowanym przez Instytut Kształcenia Nauczycieli.

Rozmawiał:
WOJCIECH J. PODGÓRSKI

TAK SIĘ WIDZĘ

PRACA KONKURSOWA

CZY TO AUTORYTET?

Wcale nie miałam zamiaru brać udziału w tym konkursie; bo szkoda czasu na morały. Coś opętało mnie w momencie, gdy moja córka — licealistka — z rozżaleniem stwierdziła, że chyba nie dojechała stopnia z klasówki matematycznej, bo wciąż nie jest poprawiona. To po co grzmieć na zebraniu, że dzieci to lenie, gdy nikt nie będzie ich uczył obowiązkowości?

Do zawodu trafiłam świadomie, bo chciałam być z dziećmi. Ale różnie bywało w pracy. Wiele razy przegrywałam, gdy próbowałam w nerwach, spięta i pełna niechęci — przekazać uczniom jakies prawdy. Lub gdy sama mało wierzyłam w sens tego, co robię. Wtedy zawsze wychowankowie omijali mnie z daleka.

Niepowodzenia zdarzają mi się wtedy, gdy jestem zmęczona. Do dziś nie opamiętałam strategii sukcesu. Mam wadę nie do usunięcia: nie umiem być zbyt liberalna. To chyba źle, bo elastyczność jest potrzebna. Tę wadę staram się więc pokryć dokładnym „rozszyfrowywaniem” uczniów. Rezygnowanie z rygorów wobec uczniów — tak sądzę — ma swe źródła w obniżeniu wartości moralnej i intelektualnej nauczyciela. A pobażać — to rozgrzeszać samego siebie ze słabostek. Jeśli więc czasem daszą się uczniowie, to dlatego, że nie chcę pobażać, gdy nie nie usprawiedliwia złej pracy. Jest jednak „ale”. Zawsze staram się dziecku wytłumaczyć, dlaczego tak, a nie inaczej postępuje. I zawsze — wcześniej lub później — uczeń zaczyna rozumieć, o co mi chodzi.

Z rady pedagogicznej wracam późno. Przy kiosku — grupa podchmielonych mężczyzn. Zaczynam się bać. Nagle słyszę: Zdejm czapkę, baranie! Nasza pani idzie! — Zdumiona, oblana zimnym potem — zostaje przepuszczona. A za sobą słyszę: — Dobry wieczór! — Poznaję tego, któremu tak bardzo zwichnęło się życie. Myślę z goryczą, że pewnie mam u niego autorytet...?

Ani mi się śni przekonywać niewiernych do swych racji. Spisuję jedynie zarejestrowane w pamięci kadry. To nie te czasy, kiedy szanowało się belfra ze strachu!

Wiem jedno, wiem i drugie: jeśli dam wychowankowi swą całą wiedzę, pracę, serce i mam dla niego czas, to będzie on szanował mnie za to, co umiem i jak to robię.

Biorę zeszyty do sprawdzania. Robię sprawdzenie dokładnie, nie „po lebkach”. Najpierw bywają zdumieni, że tak szybko oddałam, potem, że sprawdziłam rzetelnie, a jeszcze potem — że konsekwentnie wymagam poprawy wszystkich błędów. Zdarzają mi się dziwne oceny: „za poprawę poprawy”. Wreszcie przywykają do mnie i starają się unikać błędów, jak ognia, bo... za dużo roboty z poprawianiem.

Zajęta zeszycami nie zwróciłam uwagi na dzwonek u drzwi. Syn komunikuje mi: — Mamuś, goście. Jacys dorośli, dużo pań i panów. Wychodzę ze swej „dziupli” i widzę w drzwiach bukiet, a za nim uśmiechnięte twarze — dawnych uczennic i uczniów.

No tak. Jak zwykle, gdy tylko przerwa w uczelniach, zjeżdżają do miasteczka i wpadają do mnie ci, którym niegdyś matkowałam. Krzątamy się po kuchni, potem zasiadamy przy stole. Płyną wspomnienia. Do późnej nierzaz nocy — rozstrząsamy wszystko, co leży nam na sercach: politykę, studenckie bolączki, przyszłość.

Mąż — nieco nadąsany — marudzi pod nosem: — Nie mogę pojąć, o czym wy przez tyle godzin możecie mówić! Tego się nie da zrozumieć, tym trzeba żyć!

Dorota była zdolna i śliczna. Wróżyli jej karierę. Dorota wozi synka, jest młoda, samotna matka. Ile razy spotykam ją tyle razy chwytam mnie żal i... wzruszenie. Nie ulekała się. Proponowali jej, żeby dzieciaka dała w adopcję i szła na studia. Ale Dorota — wiem to — kocha dziecko. Jest wzorową mamą. Szkoda tylko, że tak szybko musiała być dorosła. Uśmiecha się, wita i długo rozmawiamy. — Trzymaj się, Dorota! A jakby co — wpadnij! Nie wiem, co przegrałam, że stało się tak, jak się stało, a Dorota jest taka, jaka jest.

Jeden piątkowy, najlepszy, ułożony — nie kłania mi się. Jemu wszystko załatwia tata. Ten chłopak wkrótce pójdzie na studia — też pewnie załatwione! Ciekawe, w którym życiowym zakręcie mój orzeł się ocknie? Oby to nigdy nie był zakręt tragiczny. Szkoda mi tego chłopca.

Nigdy nie umiałam zbyt uczenia. Tyle tych dzieci. Duże i małe. Chcą być ważne, wysłuchane. Jak to zrobić, by nie ominąć żadnego, któremu jest potrzebna? Niekiedy czuję się bardzo zmęczona i brakuje mi czasu na wiele osobistych spraw. Ale gdyby ktoś mi zaproponował emeryturę od jutra, to roześmiałabym się: — Jeszcze nie pora! Czekaj nas jeszcze tyle lekcji, wycieczek, programów artystycznych, biwaków, zabaw i pracy. Mam czas?

Złapała mnie któraś matka dawnego ucznia, wyciskała i mówiła szybko, jakby się bała, że odejdę. Słuchałam jej szczerze, że i moja czaśka pracy jest w sukcesach naszego dziecka. Nie trzeba mó-

wić szybko — matko. Dla ciebie też mam czas. I cieszę się z tobą.

Przychodzę do pierwszej „e”, gdzie mam „michały”, bo ich pani chora. Ot, zastępstwo. W klasie — ryk. Nie hałas nawet, tylko regularna wojna. Dzieciaki ostentacyjnie biegają, krzyczą i nawet na mnie nie spojrzę. Stoję przy drzwiach ogłupiona, nienawykła przy moich starych koniach do takich scen. Zdaje mi się, że to klasa uznająca tylko autorytet bata, marchewki i... swojej pani.

Wreszcie w jakiejś chwili, gdy wrzask zda się opaść, mówię najspokojniej, jak umiem: — Chcę opowiedzieć wam bajkę, ale...

Dzieciaki zamarły, a potem taki mały czarny, najruchliwszy wojownik z oberwanym kłmierzkiem wytarł nos w rękaw i spytał rezolutnie:

— A pani zna się na bajkach?

— Znam się — uciąłam krótko. — Siedajcie i słuchajcie. Oporów nie było. Wiem, że gadałam i rysowałam tę bajkę, aż bolała ręka. To było o trzech siostrach z rosyjskiej książeczki „Proszę, dziękuję, przepraszam”. Potem dzieci „opisywały” bajkę farbami: co dobre — na jasno, co złe — na ciemno. Sciana z wystawką stała się najbardziej kolorowa w klasie. Tak sobie myślę: ciekawe, czy dziś zdołałam u nich autorytet?

Nie ma pytań bez odpowiedzi, spraw mniej ważnych, zapomnianych. Mówią: Spalisz się. Trudno. W pracy z dziećmi liczy się wszystko. W szkole nie wolno robić „fuchy”. Jak ktoś sądzi inaczej, to niech się weźmie za hodowlę pomidorów lub jakąś inną też pożyteczną pracę. Myślę, że z tym autorytetem to jest tak: do dziecka trzeba się pochylić z pokorą, dziecku trzeba służyć. Potem dopiero wymagać.

Post scriptum: wczoraj mój syn oznajmił, że będzie nauczycielem. Mąż złapał się za głowę, a ja... jestem szczęśliwa. Powiedziała małemu krótko:

— Rób tak, aby ci w życiu było dobrze i aby innym z tobą było dobrze.

Przepraszam. Miało być o autorytecie...

„Lestka”

(Autorkę prosimy o podanie imienia i nazwiska.)

STAN BEZRADNOŚCI

KONFLIKTY

Ale stara niedźwiedzińska zasada bok-serska mówi, że ślaniającego się przeciwnika trzeba jak najszybciej rzucić na deski. Tak też czyni dyrektor gminny. Przerzuca do Jawt Wielkich dyscyplinarnie dwóch uczniów niedostosowanych społecznie. Oczywiście, wbrew woli pana M.K. I tym razem również wbrew decyzji rady pedagogicznej tej placówki. Czy A. R. musiał dolewać oliwy do ognia, gdy i tak już wszystko płonęło? Oczywiście, dopiół swego. Nokaut nastąpił w Dniu Edukacji Narodowej 1983 r.

Najpierw M.K. dowiedział się nieoficjalnie, że z okazji tego święta dyrektorzy, a wśród nich on, otrzymają nagrody pieniężne w wysokości 5 tysięcy złotych (nagroda ta dyrektorowi z Jawt Wielkich z pewnością się należała, chociażby za szczególne zakończenie remontu kapitalnego nie mówiąc już o sukcesach szkolnego zespołu artystycznego pod jego egidą). Jednak gdy przyszło do rozdawania kopert, nazwiska M.K. nie wywołano. W panu K. dosłownie coś pękło. I to właśnie w Dniu Edukacji Narodowej! Załamał się. Po raz pierwszy w życiu stracił motywację do pracy w szkole. Czarny dzień!

Tydzień później jest już z żoną na urlopie dla poratowania zdrowia. Pierwsza runda zakończona. Ale sprawa państwa B. i M. K. bynajmniej nie zeszła w cień. Oto rodzice żądają teraz od inspektora kontroli finansowej szkoły, bo rzekomo państwo K. sprzeniewierzyli pieniądze komitetu rodzicielskiego. Kontrolę zakończono w styczniu 1984 roku. Jednak nie ona nie wykazała poza pewnymi uchybieniami formalnymi. Nastąpiła cisza przed burzą.

Sądny dzień nadszedł 21 lutego 1984 roku. Państwo K. wrócili już z urlopu, ale wieść zażądała zebrania ogólnego. Wiadomo

WITOLD SALAŃSKI

Na całej polskiej wsi — od morza do Tatr — trwa zebrania o wykwalifikowanego nauczyciela, a w Jawtach Wielkich, gmina Susz, województwo elbląskie, jest odwrotnie. Siedzi tam małżeństwo doświadczonych nauczycieli i nikt ich nie chce.

I to jakich nauczycieli! On, lat 54, w zawodzie 28 lat, specjalista zajęć praktyczno-technicznych, ale matematyki i fizyki uczył 13 lat. Także otrzaskał się w prowadzeniu takich przedmiotów, jak przysposobienie obronne i wychowanie muzyczne. Zdobył nawet doświadczenie w kierowaniu zespołami muzyczno-tanecznymi-wokalno-recytatorskimi. Sam gra na instrumentach klawiszowych i strunowych, co nieco komponuje. Może także zaopiekować się kółkiem fotograficznym (przez wiele lat był zawodowym fotografem) i modelarstwem lotniczym, nie tylko zna się na modelach, lecz także ma uprawnienia do latania na szybowcach (160 godzin w powietrzu) oraz na małych samolotach silnikowych. I w ogóle ma „złotą rączkę”. Potrafi wiele rzeczy zrobić i zreperować. Jego hobby to wszystko, co jest związane z elektrycznością, a więc elektrotechnika, elektronika. Samochód też sam sobie naprawi i butów do szewca nie nosi.

Ona, 33 lata w zawodzie, również specjalistka zpt, ale o zainteresowaniach humanistycznych (a więc z mężem doskonale się uzupełnia). Historii uczyła zawsze, języka rosyjskiego 28 lat, a polskiego 15. Pikanterii dodaje fakt, że od dwóch lat pełni funkcję prezesa miejscowego Oddziału ZNP w Suszu.

A jednak małżeństwa K., prawdziwych omni-busów pedagogicznych, w Jawtach Wielkich nie chcą i to dosłownie wszyscy; nauczyciele, mieszkańcy. Także inspektor oświaty i wychowania w Suszu, mgr A.R. Jak bardzo nie chcą, najlepiej świadczy fakt, że w roku szkolnym 1984/85 zatrudniono w miejscowej szkole aż czterech nauczycieli niewykwalifikowanych (na dziewczęciu), jednocześnie „wysyłając” oboje małżonków na roczny urlop dla poratowania zdrowia bez widoków na powrót.

Zatem oboje osiedli na życiowej mieliźnie. Bardzo cierpią z tego powodu, ponieważ są pedagogami z krwi i kości, nie widzą siebie poza szkołą i nie myślą o żadnej przedwczesnej emeryturze. Pragną pracować jeszcze wiele lat, bo — jak uważają — sił im starczy. Niestety, na razie siedzą z założonymi rękami, a wokół nich „nić czarna się przedzie” — niepowodzenia, smutku, niemal rozpacz.

W Jawtach Wielkich przegrali. Dlaczego? Pytanie frapujące. Nielatwo na nie odpowiedzieć, bo sprawa jest zagmatwana niemiłosiernie. Konflikt B. i M. K. z otoczeniem trwa już blisko 5 lat i — jak dotąd — nie może znaleźć rozwiązania.

A WSZYSTKO ZACZEŁO SIĘ, JAK W DOBREJ, POZYTYWISTYCZNEJ POWIEŚCI.

Państwo B. i M.K. przybyli do Jawt Wielkich jesienią 1980 roku. W swoim życiu, jak wielu wiejskich nauczycieli, nie mieli szczęścia do mieszkań. Rodzili im się dzieci, przybywało mebli i kłitki, które wynajmowali, stawały się za ciasne, więc ruszali dalej, Jawty Wielkie, do których ścignął ich były gminny dyrektor, a obecny sekretarz Komitetu Miejsko-Gminnego PZPR w Suszu, miały być ich ostatnią przystankiem, właśnie ze względu na przyzwyczajenie do służbowego w budynku szkolnym.

W tychże Jawtach Wielkich M.K. otrzymał nominację na dyrektora szkoły. Raczej szkółki. Kilkadziiesięciu uczniów uczęszczało do budynku dosyć zrujnowanego. Dach przeciekał. Z autów wylała trzcina. Kanalizacja nie działała. Fatalny układ pomieszczeń sprawiał, że do klas przechodziło się przez inne klasy, a nie z korytarza. Również i przyległy teren, łącznie z parkanem, przedstawiał „obraz między rozpacz” (cytuje dosłownie pana M.K.).

Remont kapitalny — oto, co było najpilniejsze w działalności świeżo upieczonego dyrektora. M.K. tym się nie załamał. Wprost przeciwnie. Zawsze mówił: „Roboty się nie boję”. I zabrał się z impetem do remontu. Ale jakoś nie mógł ruszyć z kopyta. Brakowało środków, a poza tym wszyscy wokół w te posierpniowe dni co innego mieli w głowie. Rozumiał sytuację i czekał cierpliwie. Gdy jednak pewnego dnia wszedł do Zbiornej Szkoły Gminnej w Suszu, wyszedł zbulwersowany. W Jawtach jego szkoła rozspina się, a tutaj boazerie kładą, gabinety dyrektorskie urządzają. Nie zdzierzył i wysmałił epistolę do „Głosu Nauczycielskiego”. Ukazała się w numerze 39 z 27 września 1981 roku. pt. „Samo życie”.

Publikacja ta stała się punktem zwrotnym. W życiu dyrektora. Po prostu nie przypadła do gustu nowemu dyrektorowi gminnemu, (dziś inspektorowi)

— Niestety, pan M.K. nie napisał całej prawdy — wyjaśnia mi dyrektor. — Boazeria? Owszem, ale z płyt wiórowych zakupionych tanio jako materiał odpadowy. Również autor listu nie wiedział, że te nowe gabinety dla wicedyrektorów i pracowników administracji to po prostu prozaiczna konieczność. Otóż, dotychczasowe obszerne pomieszczenie, które osoby te wspólnie okupowały, służyło jednocześnie za pokój przechodni dla ponad sześćdziesięciu nauczycieli kursujących na trasie pokój nauczycielski — wc.

Jeszcze jedna sprawa nie sposobowała się inspektorowi w tym liście. To, że M.K. napisał, iż nauczyciel wiejski właściwie powinien odżywiać się lebiodą, bo w sklepie GS nic po pracy do jedzenia nie dostanie, a gdy rano wyskoczy ze szkoły, to mu źli ludzie nie pozwolą kupić bez kolejki.

— Nie „Głos” ma załatwiać „chody” w sklepie, lecz autorytet nauczyciela — konstatuje nieco zirytowany inspektor. — Gdyby państwo K. cieszyli się wśród mieszkańców uznaniem, to żadnych trudności aprobowanych by nie mieli.

NIE PRZYPADLI SOBIE DO GUSTU

Dlaczego więc B. i M.K. nie spodobał się mieszkańcom Jawt Wielkich? Oto zagadka, którą starałem się rozwikłać. Przewodnicząca komitetu rodzicielskiego tak mi się zwierza: — Pierwsza wywiadówka wypadła całkiem dobrze, w dawnym stylu, ale na drugiej dyrektor K. był już chłodny. A komitet rodzicielski po prostu zignorował.

Niebawem nić porozumienia ze społeczeństwem została zerwana całkowicie. O co poszło? Trudno zrekonstruować przebieg wydarzeń, zwłaszcza, że obydwie strony zgola odmiennie opisują fakty. Na przykład państwu K. nie spodobały się zbyt huczne — czytają: zakrapiane alkoholem — szkolne zebrania rodziców. Więc zaczęli je torpedować. Szkoła po tych spotkaniach była brudna. Jednak rodzice, z którymi rozmawiałem, całkowicie temu zaprzeczają.

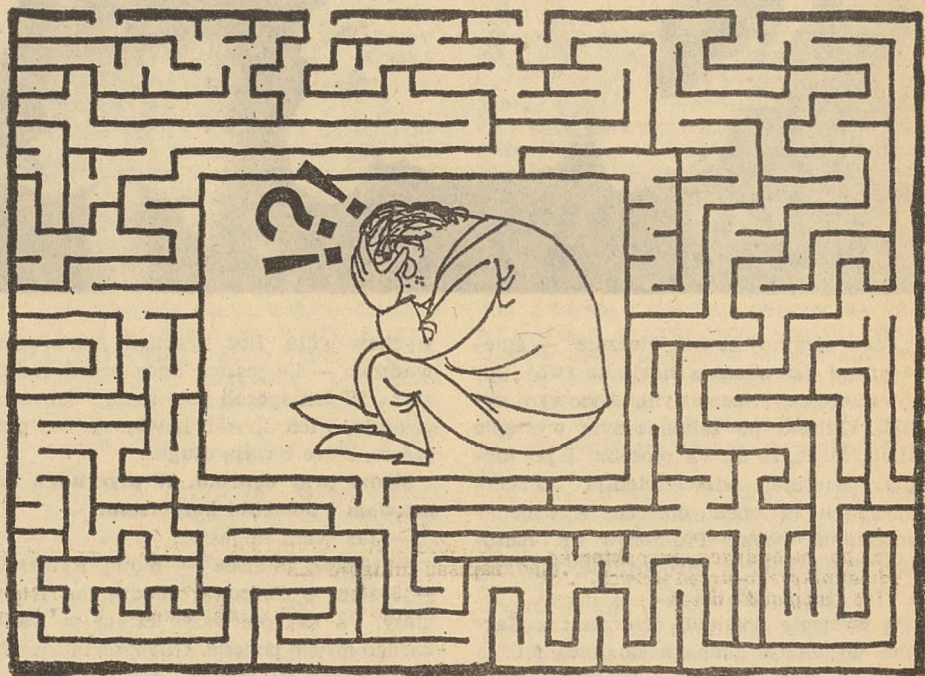
Wyznali jednak, że nie podoba im się charakter pana M.K. Jest raptus. Gwałtownie reaguje na wszelkie uchybienia ludzkie. Opisano mi jaskrawy przykład. Pewien rolnik — prawdziwa, że podchmielony — przyszedł do mieszkania państwa K., żeby zapytać, dlaczego dzieci tak długo przebywają w szkole. Ale pan K. z wielkim hukiem wyrzucił go za próg, przy okazji tłukąc sobie rękę. Ow rolnik nie tylko niczego się nie dowiedział, lecz został podany przez dyrektora na kolegium. Zasądzono mu grzywnę 1,5 tys. złotych. W ten sposób zareagował pan K., notabene członek ORM, na pijaństwo. I był zawsze wyczulony na wszelkie przestępstwa. A jak się dowiedziałem od posterunkowego, wieś Jawty Wielkie jest pod tym względem niespokojna. Na przykład, jeszcze niedawno „kwitło” tu bimbrownictwo. Czyżby zatem dyrektor K. nie lubił mieszkańców Jawt Wielkich?

W odpowiedzi opisał mi następujące wydarzenie: — Gdy już ten remont kapitalny miał się rozpocząć (jednak publikacja w „Głosie” pomogła), przywieźli 4,5 tony cementu. Wyskoczyłem do wsi, żeby ścignąć ludzi. Nikt się nie pofatygował. Więc sam ten cement staszczyłem. Ręce ociekały mi krwią.

Wkrótce wydarzenia potoczyły się lawinowo. Najpierw w zimie zabrakło opału do centralnego ogrzewania szkoły i trzech mieszkań służbowych, w tym dyrektorskiego. M.K. radzi sobie w ten sposób, że każe palić drewno chwilowo nieobecnej nauczycielki, która z małym dzieckiem i mężem nienauczycielem, odbywającym wówczas służbę wojskową, zajmowała jedno z mieszkań służbowych. Dyrektor miał ponoć jej ustne zezwolenie. Niby tak, ale jej opał był potrzebny do kuchni. Teraz go nie miała. Więc mąż na przepustce zrobił dyrektorowi awanturę. Sprawa trafiła do inspektora. A ten tylko czekał na pretekst, żeby „załatwić” dyrektora z Jawt Wielkich, oczywiście, za ten list do „Głosu” — tak przynajmniej rozumował pan M.K. Ale tym razem wszystko rozeszło się po kościach. Państwo K. zwrócili nauczycielce pieniądze.

Następna runda wymiany ciosów rozpoczęła się na wiosnę 1983 roku. Mąż nauczycielki od tego nieszczęsnego opału

zwraca się z prośbą o pozwolenie na zbudowanie drewnianego garażu na terenie posesji szkolnej. Dyrektor gminny szkół wyraża zgodę i prosi dyrektora w Jawtach Wielkich o wyznaczenie miejsca. Ten jednak ostro protestuje w jednobrzmiącym piśmie skierowanym do tegoż dyrektora gminnego oraz do naczelnika miasta i gminy Susz. „Budowanie drewnianego garażu stwarza niebezpieczeństwo pożarowe” — pisze nie bez racji M.K. Ale dalej dodaje: „W głównej mierze jest to jednak budownictwo bezplanowe, nie poparte żadną



Rys. Z. Nowak

dokumentacją, wymagana przy każdym budownictwie, (...) Niepodważalnym argumentem, przemawiającym przeciw wydaniu zezwolenia na budowę garażu (nawet murowanego) jest to, że zezwolenie będzie stanowił precedens dla pozostałych nauczycieli, którzy noszą się z zamiarem postawienia sobie na terenie tejże szkoły chlewików, szopek i tym podobnych pomieszczeń, w których zamierzają prowadzić hodowlę drobiu a nawet trzody chlewnej”.

Dalej M.K. protestuje przeciwko deestetyzacji otoczenia oraz przeobrażaniu posesji szkolnych w gospodarstwa rolne. „Nauczyciel powołany jest do pracy pedagogicznej”, a nie do hodowania świń i kur. A co będzie jak się nauczyciel wyprowadzi — pyta na zakończenie M.K. Oczywiście, będzie żądać odszkodowania, albo budowlę rozbierze czyniąc bałagan. Jednak starcie to M.K. przegrał. Garaż państwa S. stoi dziś dyskretnie w kącie posesji szkolnej, nauczycielka odniosła ciche zwycięstwo. Tryumfowali także pozostali nauczyciele, którzy przecież solidaryzowali się z koleżanką. Wkrótce jednak odniosła zwycięstwo głośne, niemal spektakularne.

CIOŚ ZA CIOSEM

Oto niedługo potem dyrektor udziela jej upomnienia za uchybienia zawodowe. Nie trudno o nie, bo przecież E.S. jest absolwentką Studium Wychowania Przedszkolnego, a uczyła geografii w klasach IV-VIII, matematyki w klasie V, wychowania muzycznego w klasach IV-V oraz wychowania fizycznego w klasach V-VIII. Nauczycielka czuje się pokrzywdzona. Odwołuje się więc do dyrektora gminnego. A ten upomnienie anuluje twierdząc, że w świetle przepisów (kodeks pracy) kary porządkowe wymierza tylko organ zatrudniający.

Dyrektor M.K. odwołuje się więc do... „Głosu Nauczycielskiego”. Nasz redakcyjny prawnik, jednak orzeka inaczej niż dyrektor gminny z Susza. Otóż, według niego dyrektor szkoły osmioklasowej, nie gminnej, w myśl zarządzenia ministra oświaty i wychowania, ma prawo do udzielania podległym mu pracownikom kar porządkowych. Cóż z tego. Liczyła się tylko interpretacja dyrektora gminnego. M.K. poniósł swoją największą porażkę. Stracił całkowicie autorytet wśród podległych mu nauczycieli. Nawet ci niewykwalifikowani przekonali się, że mogą teraz na głowie swego przełożonego tańczyć piruety i jeszcze grać na fujarce nie ponosząc żadnej kary. Czy tego chciał dyrektor gminny?

po co. Żeby państwo K. zgilotynować. I zgilotynowano. Rozmawiałem z wieloma uczestnikami tamtego zebrania. Wspominają je z niesmakiem. Było monotematyczne. Kto tylko mógł, to wygarniał, ileż to jajek, kur, gęsi, kaczek państwo K. przyjęli za „Bóg zapłać” nie okazując wdzięczności. A nawet wprost przeciwnie: na kolegię Bogu ducha winnych mieszkańców podawali, sądami grozili. I w ogóle nie dostosowali się do otoczenia, zadzierając nosy, uważając siebie za wyższych, lepiej urodzonych.

Ten pejzaż po bitwie wygląda dziś następująco: Z dniem 31 sierpnia 1984 roku pan M.K. przestał pełnić obowiązki dyrektora Szkoły Podstawowej w Jawtach Wielkich. Gdy małżeństwo K. 1 września 1984 roku próbowało podjąć pracę, jako nauczyciele, rodzice ostro zaprotestowali. Jeśli B. i M. K. pozostaną w Jawtach Wielkich, to nie puścimy dzieci do szkoły — szantażowali. Do bojkotu nie doszło, bo K. „wzięli” roczny urlop dla poratowania zdrowia. Siedzą więc teraz w swoim wygodnym mieszkaniu służbowym i czekają na sprawiedliwość. Czy się doczekają?

Na zakończenie trudno nie oprzeć się refleksjom. Dlaczego ten konflikt, w końcu o drobiazgi, trwa tak długo? Dlaczego władze nadrzędne nie zażegnały go w zarodku? Przecież główni bohaterowie sporu to nie osoby prywatne. Sprawują funkcje kierownicze, ich postępowanie obserwuje całe środowisko. W przypadku otwartego konfliktu — dobre imię szkoły jako instytucji wychowującej zostaje narażone na szwank. Obawiam się, że w Jawtach Wielkich zostało w ogóle przekreślone. Przekroczono bowiem granice służbowej odpowiedzialności. Zło rodzi zło. We wsi też panuje teraz atmosfera pomówień, często bardzo płaskich, wzajemnych oskarżeń, plotek. I najdziwniejsze jest to, że jak dotąd, nikt nie próbuje jej uzdrowić.

I jeszcze jedna sprawa, bodaj najsmutniejsza. Pani B.K., przeciwko prezes Oddziału ZNP w Suszu; zwracała się do związku o pomoc. Nikt nie podał jej ręki. Gorzka to prawda.

KORESPONDENCJA Z NRD

FERIE W BRODOWINIE



„Ferie powinny trwać wiecznie” — śpiewa grupa dziewcząt z Barlinka (woj. gorzowskie) przy wieczornym, obozowym ognisku. Oklaski po zakończonym występie potwierdzają, że słowa piosenki i jej melodia wiernie odzwierciedlają uczucia wszystkich tu obecnych. Tu, a więc w Centralnym Obozie Pionierów im. Antoniego Makareńskiego w Brodowinie, niedaleko Frankfurtu nad Odrą...

Po występie polskich dziewcząt z Barlinka występuje grupa z Gorzowa i Choszczna, potem śpiewają i tańczą, recytują i grają na różnych instrumentach dziewczęta i chłopcy z NRD. Czas leci szybko, ognisko zaczyna dogasać. Czas rozejść się do swoich domków. Wspólny, kolejny dzień w obozie powoli się kończy. Jutro trzeba wcześniej wstać, bo zaplanowany jest wyjazd na wycieczkę.

Ale wróćmy jeszcze na chwilę do ogniska. Który to już z rzędu wieczór? Uroczy, wesóły, z ciekawym programem artystycznym, przygotowanym przez obie strony: młodzież polską i niemiecką. Nie ważne zresztą, który to wieczór. Ważna jest atmosfera tych spotkań, wzajemne uśmiechy i rozmowy, które, bywa, przedłużają się następnie aż do późnych godzin wieczornych. Mają swoje spotkania młodzież, mają i nauczyciele, spełniający tu funkcje

wychowawcze. Ile dyskusji już przeprowadzono — ile jeszcze nocy przedyskutuje się?... W ten sposób obie strony dobrze się poznają, w ten sposób nawiązuje się przyjaźnie, które trwają długo...

Siedzę przy ognisku. W przerwach rozmawiam z polskimi harcerzami.

— Jak wam tu jest?...

— Uroczne miejsce — mówi Agnieszka. — Jestem z Gorzowa, chodzę do siódmej klasy. Po raz pierwszy jestem w NRD i bardzo mi się podoba. Gdybym tak jeszcze lepiej знаła niemiecki. Ale rozmawiamy po rosyjsku. Mamy przecież w szkołach język rosyjski.

— Tu, na tym obozie, panuje wspaniała atmosfera — opowiada mi Michał z Choszczna. — Obóz jest położony w pięknej okolicy w lesie, nad jeziorami. Cudowne są wycieczki, jest na co patrzeć, co podziwiać...

— Nie nudzimy się — twierdzi Kryśia. — Codziennie jest sporo imprez: spotkań sportowych, gier towarzyskich, wycieczek. Wczoraj uczestniczyłam w olimpiadzie obozowej. Zajęłam dobre miejsce w biegu przełajowym. Żal będzie wyjeżdżać...

Podobne opinie słyszę od pionierów:

— Fajni są chłopcy z Polski. Wszyscy należą do harcerstwa. Mają piękne, praktyczne stroje organizacyjne. Niektórzy

posiadają dziesiątki sprawności. Lubimy się, organizujemy wspólne imprezy i spotkania.

— Wczoraj przetańczyłam cały wieczór z Tadekiem. Miły i wesóły chłopak, zbiera widokówki, więc mu dałam swoje. No, i świetnie tańczy.

— Wczoraj była wielka checa w nocy! Otóż harcerki zakradły się do naszych sypialni i podłożyły nam pod poduszki buzdiki. Były one ustawione na drugą w nocy. I o tej godzinie, gdy głęboko spałyśmy — nagle, pod poduszkami dzwoni. Ale było śmiechu i dowcipów. Cóż — miałyśmy twarde sen, i nikt z nas nie zauważył tych nocnych do sypialni podchodów...

Myślę sobie: to jest właśnie młodość. Wspólne zabawy i imprezy, wieczory przy

dniu otwarcia festiwalu na obozie w Brodowinie będzie również festiwal organizowany wspólnie przez młodzież z Polski i NRD.

RITA FRIEDEMANN
Berlin
Fot. Ingeborg Heyse

★

Red. Rita Friedemann przekazała nam również szereg informacji związanych z rozpoczęciem nowego roku szkolnego. I tak 1 września w NRD rozpocznie naukę ponad 2 mln uczniów. Tę armię młodzieży nauczać będzie 173 tysiące pedagogów w 5850 politechnicznych szkołach — dziesięciolatkach, w klasach pierwszych zajmie miejsce 227 900 dziewcząt i chłopców.

Dla uczniów zawczasu przygotowano 26 mln egzemplarzy podręczników.

Naukę z młodzieżą rozpocznie po raz pierwszy 8100 nauczycieli — absolwentów wyższych uczelni i instytutów pedagogicznych.

Każdy uczeń w NRD ma zapewniony w szkole posiłek — w tym obiad, z którego korzysta 1,7 mln — czyli 87 proc. uczniów.



ognisku, współzawodnictwo w sporcie i w pracy... Tak jest w Brodowinie i w setkach innych obozów, w których przebywają harcerki i harcerze, uczennice i uczniowie z Polski. Bawią się razem, pracują razem i razem odpoczywają. W tym roku około 300 tysięcy młodych ludzi z Polski i NRD pozna się bliżej na obozach organizowanych u nas i w Polsce. Iu młodych zawrze trwałe sympatie i przyjaźnie?

Jutro cały obóz będzie żył Festiwałem Młodzieży i Studentów w Moskwie. W

Warto wiedzieć — że wszystkie zakłady gastronomiczne w NRD mają obowiązek przygotowywania obiadów dla uczniów i wydzielania specjalnych sal uczniowskich w porze obiadowej. Około 71 proc. dzieci i młodzieży korzysta z akcji „szklanka mleka”.

Szeroko korzystać można z przedszkoli. Każde dziecko w wieku od 3 do 6 lat w mieście i na wsi — ma zapewnione miejsce w przedszkolu. Rokrocznie trafia do przedszkoli 2400 absolwentów szkół pedagogicznych.

POCZTÓWKA Z BYTOWA

Pojezdź Bytowskie — piękna kraina na Pomorzu Środkowym. Liczne, pięknie położone jeziora, bystre, obfitujące w dzikie przełomy rzeki, malownicze, wysokie wznieślenia, ciągnące się kilometrami lasy. Wszystko to tworzy niezwykle malowniczy krajobraz, dzięki czemu jest to jeden z najbardziej atrakcyjnych regionów turystycznych. Centrum stanowi Bytów — 15-tysięczne miasto, leżące w dolinie rzeki Bytowej. Warto tu spędzić urlop, zwłaszcza jeśli szuka się ciszy, spokoju i czystej wody. Nie ma tu tych przewalających się ulicami tłumów wczasowiczów — zmyory Ustki, Swinoujścia i innych kurortów. Miasto jest nie tylko uroczne, lecz także czyste, schludne, a sklepy nieźle zaopatrzone.

Baza wypoczynkowa mieści się nad cudownie położonym jeziorem Jeleń. Doprawdy, trudno dziś spotkać równie czyste

i zadbane jezioro — raj zarówno dla wczasowiczów, jak i wędkarzy. Na miejscu sprawnie funkcjonujące zaplecze rekreacyjno-gastronomiczne — starannie utrzymana plaża, kąpielisko, wypożyczalnia sprzętu, a także jadalnia, bufet, kiosk. Bazę noclegową tworzą liczne domki campingowe oraz pole namiotowe — nieduże, ale zadbane, z odpowiednim zapleczem.

A gdy nie ma pogody do plażowania, warto zwiedzić miasto i wspaniałą okolicę. Trudno byłoby tu opisać wszystkie, godne zwiedzania miejsca — lepiej czynią to autorzy odpowiednich przewodników. Ale nie byłbym pedagogiem, gdybym — spacerując po Bytowie — nie zwrócił uwagi na imponujące budownictwo oświatowe. Liceum Ogólnokształcące z internatem, Szkoła Podstawowa nr 3, Dom Dziecka, przedszkole — mieszczą się w nowych budynkach, powstałych w ostatnich latach. Tylko Biblioteka Pedagogiczna, ulokowana w pokrzyżackim, średniowiecznym zamku, gnieździ się w nieprawdopodobnie trudnych warunkach. Nie ma miejsca nawet na czytelnik, więc tylko dzięki uprzej-

mości pani bibliotekarki mogłem przeczytać „Głos Nauczycielski” (no bo o kupieniu w kioskach nawet nie ma mowy...).

Ale właśnie czytelnikom naszego pisma specjalnie chciałbym polecić zwiedzanie Muzeum Szkoły Polskiej w Płotowie — 8 km od Bytowa, w kierunku Chojnic. W latach międzywojennych mieścił się tu jeden z głównych ośrodków walki o polskość. Upamiętnia to głąz z napisem: „Nie rzucim ziemi skąd nasz ród”. Pomimo szyszan i terroru zamieszkująca te tereny od wieków ludność kaszubska bohaterstwo przeciwstawiała się fali germanizacji, starając się zachować język, tradycje i obyczaje. Działacze spod znaku Rodła, którym prezesował Styp-Rekowski, szczególnie wiele wysiłku włożyli w utworzenie i utrzymanie szkolnictwa polskiego. Zdołano zorganizować cztery polskie szkoły, ale tylko jedną z nich w Ugośczy udało się utrzymać do 1939 roku, pozostałe zlikwidowano wcześniej. Taki właśnie los spotkał szkołę w Płotowie. Dziś mieści się tu muzeum. Obejrząc więc można zgromadzone stare dzienniki lekcyjne (jakże wtedy starannie prowadzone!) zeszyty uczniowskie,

pisma protestujące przeciwko szykanom wobec Polaków, czasopisma, mapy, pamiątki po harcerzach. Bogaty zestaw zdjęć obrazuje codzienne życie polskich nauczycieli.

Ze szczególnym wzruszeniem oglądałem zdjęcia z Seminarium Nauczycielskiego w Rogoźnie Wlkp., gdzie wówczas kształcono kadry pedagogiczne dla szkół polskich w Niemczech. W tej właśnie placówce (wtedy już Liceum Pedagogiczne) pod koniec lat sześćdziesiątych zaczynałem swoją karierę nauczycielską... A jedną z sal w szkole-muzeum poświęcono na pieczołowicie odtworzenie klasy z tamtych lat.

Jest więc co zwiedzać w Płotowie — szkoda tylko, że tak trudno... dostać się do tego muzeum. Musiałem tu kilka razy przyjeżdżać, żeby w końcu trafić na osobę z kluczem. Dwukrotnie widziałem autokary wypełnione młodzieżą kolonijną, które zawracały spod zamkniętych drzwi — nie ma na nich żadnej informacji o godzinach otwarcia muzeum.

A szkoda, bo właśnie tutaj można zorganizować wspaniałą lekcję patriotyzmu w oparciu o pięć prawd Polaków spod znaku Rodła. Szczególnie jedną z tych prawd warto dzisiaj uświadomić młodzieży: Polska Matką naszą, o Matce nie wolno myśleć i mówić źle...

LECHOSŁAW GAWRECKI
Kalisz



STOLICA ZAPRASZA

Dwa wakacyjne miesiące są świetną okazją, by pożyć odrobinę spokojniej, ciekawiej, tak trochę bardziej dla samego siebie. Jeśli akurat nie zaplanowało się jakiejś wyjątkowej na lato roboty w rodzaju odnawiania mieszkania, gdy opałać się trudno, bo słońca jak na lekarstwo, można interesująco spędzić urlop zwiedzając coś, na co na ogół brakuje czasu. Ofertą proponowaną pracownikom oświaty przez Związek Nauczycielstwa Polskiego ofertą, także na niepogodę jest zaproszenie do Warszawy.

Wydawać by się mogło, że niewielu jest takich, którzy choć raz w życiu nie byli w stolicy u krewnych, znajomych, czy po to, by coś załatwić w urzędzie. Niemal każda szkoła w planie wycieczek ma zwiedzanie stolicy. Przez okrągły rok ciągną więc do Warszawy autokary z całego kraju. Tylko co tak naprawdę w ciągu 3-4 dni można zobaczyć? Oczywiście, obowiązkowym punktem programu jest Stare Miasto, Wilanów no i handlowe serce stolicy — domy Centrum...

Dla tych, którzy zwyczajnie chcieliby połączyć trochę po Warszawie, to i owo zobaczyć, kupić parę drobiazgów bez tłoku i pośpiechu szkolnych wycieczek, ZNP przygotował miejsca w dwóch sezonowych domach wypoczynkowych na Żoliborzu i na Starym Mieście. Dodatkową atrakcją był pobyt w obu tych ośrodkach grup specjalistycznych: ciszę Żoliborza w internacie Liceum Księgarskiego przy ul. Żeromskiego mieli do swej dyspozycji literaci, z barwy i wdzięku Starówki korzystali zakwaterowani w bursie przy ul. Długiej — plastycy.

Odwiedziłam w lipcowe południe oba ośrodki. Akurat kończył się pierwszy czasowy turnus. Przy Żeromskiego zaczął się on niemiłym zgrzytem, którego to przy okazji tej relacji pominąć nie sposób. W tym obiekcie ZNP organizuje letni wypoczynek nauczycieli od trzynastu już lat. Przez wszystkie te lata współpraca z gospodarzami obiektu, czyli dyrekcją Liceum a właściwie Zespołu Szkół Zawodowych nr 5 układała się dość pomyślnie — usłyszałam od Mieczysława Strojka, dyrektora OUPiS stołecznego Okręgu ZNP. Także i w tym roku nic nie zapowiadało tego, co nastąpiło w umówionym dniu przekazania internatu we władanie ZNP.

Uzgodniono, że protokolarne przejęcie budynku nastąpi 1 lipca. Na kilka dni przed tym terminem kierowniczka internatu, pani Turczyńska, powiadomiła organizatorów czasów, że ze względu na nie-

obecność intendenci przekazać odbędzie się dzień później.

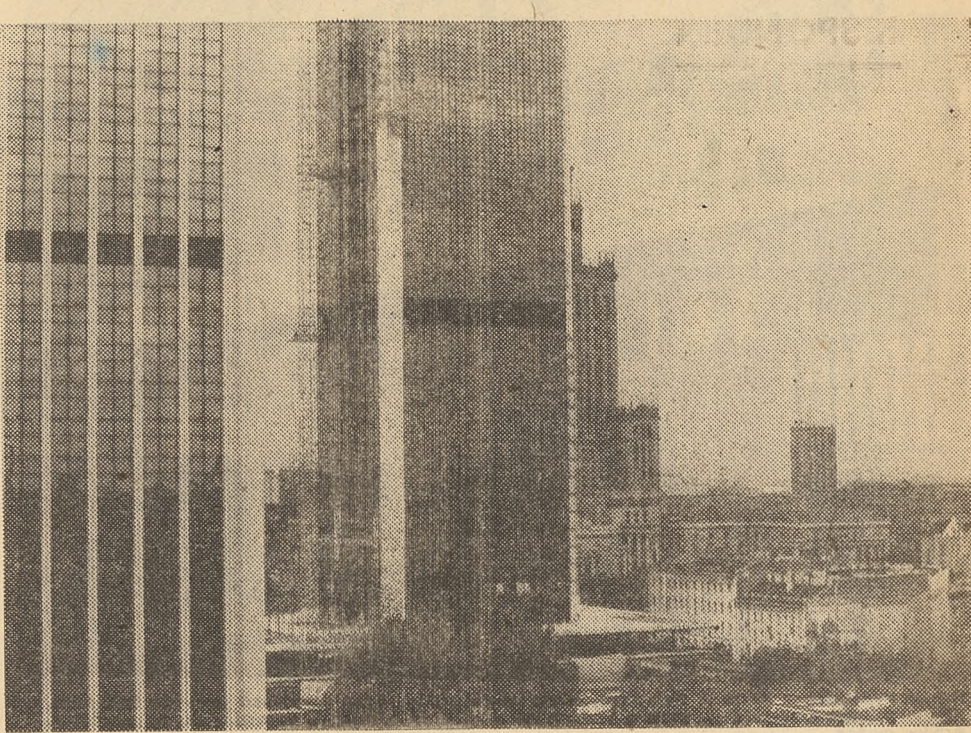
2 lipca dyrektor Sezonowego Domu Wypoczynkowego ZNP, Zbigniew Szeptycki, zastał budynek internatu w stanie godnym pożalowania. Kierownictwo szkoły, z dyr. Anną Tabor na czele i kierowniczką internatu Turczyńską, zrobiło więcej niż wszystko, by długoletniego partnera zniechęcić do dalszej współpracy. A może o to chodziło — zastanawiali się w Okręgu?

W każdym razie 2 lipca we wszystkich pomieszczeniach internatu żarówki były wykręcone, krzesła i ławki ogrodowe zdeponowane w magazynie. Intendentka nie miała kluczy do tego sezamu, zresztą — jak oświadczyła odbierającym internat — nie była upoważniona do przekazania budynku. Ale na pochowaniu czego się tylko da rzecz cała się nie skończyła. Do tego należy jeszcze dodać brud w pokojach, powybijane szyby, wokół budynku sterty butelek, papierów i innego rodzaju śmiecia, którego to nawet bujnie rozplenione chwasty nie były w stanie skryć — słyszę od dyrektora OUPiS.

Kierowniczka Turczyńska w ogóle nie zgłosiła się do pracy, by przekazać zgodnie z dobrymi obyczajami swe gospodarstwo. Nic zresztą dziwnego. Może ją wstyd ogarnął, że swym kolegom w końcu, bo przecież nauczycielskim rodzinom, ma do zaoferowania taki delikatnie mówiąc, bałagan? Chociaż należy wątpić, że to wstyd, a nie celowe działanie, skoro podobno to na jej właśnie polecenie wykręcone zostały żarówki, pochowane krzesła i ławki. Do przyjazdu pierwszych czasowiczów pozostały już tylko godziny. Organizatorzy błyskawicznie z funduszy związkowych zakupili i zainstalowali żarówki we wszystkich pomieszczeniach. Cudem wydobyli zamknięte krzesła. Wymienili niektóre szyby w oknach i wysprzątały internat. Do jakiego takiego stanu doprowadzili też jego otoczenie.

Wieczorem, 3 lipca, rozpoczął się pierwszy turnus. Opisując to wszystko, o czym powyżej w liście do kuratora Jerzego Polańskiego, związkowcy domagali się wyciągnięcia surowych konsekwencji wobec winnych takiego stanu rzeczy. Nas poza tym interesuje, jak długo gospodarzem obiektu będzie osoba w tak mało odpowiedzialny sposób traktująca swe obowiązki, jak wspomniana kierowniczka internatu? O finale tej smutnej sprawy poinformujemy.

Na szczęście czasowicze nie odczuli na



własnej skórze skutków tej specyficznej „gościnności”. Co prawda nadal tzw. ciche sale pozostały zamknięte na cztery spusty, choć bardzo przydałyby się grupie odpoczywających tu nauczycieli literatów na ćwiczenia wasztatowe. Nie udało się też odzyskać ławek ogrodowych, ale główne mankamenty zostały usunięte na czas dzięki szybkim staraniom dyrektora ośrodka, Zbigniewa Szeptyckiego, który przy okazji sporo nerwów stracił.

Nie chciałabym, by przyszli potencjalni czasowicze odebrali relację z ośrodka przy ul. Żeromskiego tak bardzo negatywnie. Bo mimo tego, o czym powyżej, wypocząć tam można doskonale. Internat jest obiektem stosunkowo młodym, choć przy takich gospodarzach trudno mu wróżyć długi żywot. Ładnym, położonym w jednej z ciekawszych warszawskich dzielnic. Pokoiki nie za duże robią wrażenie przytulnych. Na miejscu jest wszystko to, co do normalnego życia potrzebne: przyjemna stołówka, świetlica, prysznice. Gdyby trochę zadbać o otoczenie, mógłby tam być piękny ogród. Mógłby, gdyby... ale o tym już pisałam.

Organizatorzy zapewнили urlopowiczom możliwość skorzystania z imponującego programu. Przed południem wycieczki, po południu spotkania literackie, po kolacji — warsztaty. Gdy rodzice chcieli mieć wolne, oddawali swe pociechy pod opiekę kol. Fredy Paczosa.

Niemal stu procentową frekwencją cieszyły się wszystkie organizowane wycieczki: czy to autokarem po stolicy trasą od południowego Ursynowa według planowanej linii metra, potem trasą „L”, królewskim traktem do Cytadeli, czy pieszy spacer po Starym Mieście, cmentarzach powązkowskich, zwiedzanie Wilanowa, wyprawa do Żelazowej Woli, Nieborowa i przez znaczny obszar puszczy Kampinoskiej, muzeum Kampinosu, cmentarz żołnierzy Armii Pomorza. Była też przejażdżka statkiem po Wiśle — wszystko wkalkulowane w cenę czasów. Nie obyło się bez wieczoru w operetce. Wielka szkoda, że lato jest okresem takiej posuchy w teatrach warszawskich.

Jerzy Szczęśniak, z funkcji kaowiec, z powołania i zamiłowania przewodnik i uroczy gawędziarz, stwierdził, że sporo spośród tej ponad setki osób tak naprawdę

po raz pierwszy miało okazję dokładnie poznać Warszawę. Wskazywała na to nie tylko frekwencja, lecz także ogromne zainteresowanie proponowanym programem.

Na przykład Jerzy Telesz z Krosna ostatni raz widział Warszawę w 1947 r. Teraz przyjechał pokazać stolicę swemu synowi. Z programu i warunków socjalnych był bardzo zadowolony, nie spodziewał się — jak mówił — że może być tak dobrze.

Równie zadowolona z pobytu była Jadwiga Echaus, wiceprzewodnicząca Klubu Literackiego Nauczycieli we Wrocławiu. Literaci mieli bowiem okazję bezpośrednich spotkań z wydawcami, krytykami literackimi, pisarzami. W wieczornicach literackich uczestniczyli m.in. Wojciech Żukrowski i Henryk Berez. Atrakcją gośnią atrakcją. Odbił się wieczór dla pisarzy, którzy w tym roku wydali książki, wieczór dla debiutantów w specjalnie wynajętej kawiarence, zorganizowano konkurs na poezję i prozę. Nagrodami były książki. Wieczorami, nieraz do późnej nocy, odbywały się zażarte dysputy literackie.

Z kolei plastycy bardzo chwalili sobie usytuowanie swoich czasów przy ul. Długiej, czyli niemal w sercu Starego Miasta. Tu w każdym momencie można odbierać sztukę — mówiła Eugenia Sipaylo z Nauczycielskiego Klubu Plastycznego z Katowic — nie bez znaczenia była też łatwa komunikacja niemal ze wszystkimi punktami Warszawy.

Na Długiej spotkali się kierownicy klubów nauczycielskich z całego kraju, profesjonaliści i nieprofesjonaliści plastycy i zwykli nie ogarnięci żadną pasją czasowicze indywidualni. Spotkałam tam m.in. pana Henryka Holeckiego, artystę plastyka z Siemianowic Śląskich, który wykonuje najtrwalszą z dotychczas wynalezionych technik, w emalii i metalu wypalane w specjalnym piecu, miniatury.

Sezonowy Dom Czasowy przy Długiej ma warunki bytowe trudniejsze od tych, które panują na Żoliborzu. Jednak, jak mówili ci, z którymi miałam okazję rozmawiać, w takim otoczeniu łatwiej pogodzić się z pewnymi mankamentami. Sąsiedztwo Starówki usuwa w cień inne niedostatki.

HALINA DRACHAL

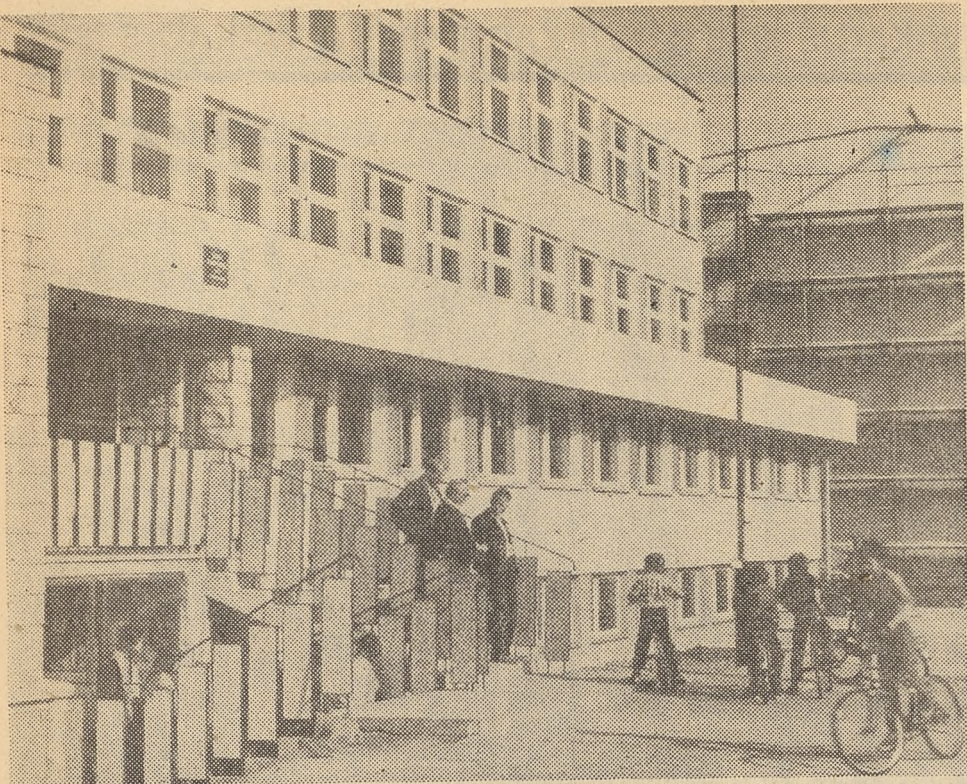


NIE DALEKO OTWOCKA

Już od pięciu lat ZPC im. 22 Lipca w Świdrze niedaleko Otwocka organizują kolonie dla dzieci swoich pracowników. Na trzytygodniowych turnusach może przebywać jednocześnie 180 dzieci pod opieką 12 opiekunów i 2 instruktorów-specjalistów. Fakt, że opiekunami są studenci

AWF, doskonale sprzyja dużej liczbie zajęć sportowych. Jak wiadomo, okolica słynie z uzdrowskiego charakteru — zwłaszcza w dziedzinie chorób płucnych. Jedyne zgrzytem są ogłaszane co jakiś czas alarmy o zatruciu rzeki Świder, co pozbawia dzieci możliwości zażywania kąpiel.

S.M.



Szkoła Podstawowa nr 10 w Puławach, mimo wielu nietypowych rozwiązań projektu inż. arch. Fijałkowskiego z Warszawy, została oddana do użytku na rok przed przewidzianym terminem. A więc można...

AŻ CIASNO OD INICJATYW



Szkoła Podstawowa we wsi Skrobów, gm. Lubartów, mieści się w starym, zagrzybnym budynku podworskim.

CD ZE STR. 1

ne środowiska dały wyraz poparcia na miarę swoich sił i możliwości. Tuż po utworzeniu Funduszu Pomocy Szkole w październiku 1984 r. jako pierwsi wpłacili 100 tys. zł uczniowie Zespołu Szkół Geodezyjno-Drogowych w Lublinie. Zarobili je latem w OHP. Zaraz za nimi pospieszyła młodzież ze Szkoły Podstawowej nr 30, lokując na koncie 24 198 zł, a komitet rodzicielski tej placówki — 65 750 zł. Ponad 16,6 tys. zł ofiarowali członkowie Rady Osiedla Nałkowskich w Lublinie.

Do końca lutego br. w miastach i gminach Lubelszczyzny powstało 60 komitetów pomocy szkole (na 69 jednostek). W marcu br. na kontach tych komitetów znalazło się ponad 300 mln zł. Jest to spora suma, ale inicjatorzy czynu, a zwłaszcza jego bezpośredni realizatorzy we wsiach i miastach, rychło zdali sobie sprawę, że przy utrzymującym się ruchu cen na materiały budowlane i robocizną wartość jednej izby szkolnej tak wzrosła, że przeciętna włoska, a nawet zespół okolicznych miejscowości, nie jest w stanie zebrać określonych w przepisach 30 proc. wartości obiektu, by resztę mogło dofinansować państwo. Ludzie jednak nie rezygnują tak łatwo.

Do końca czerwca br. spośród 31 komitetów budowy szkół — 8 rozpoczęło już prace, 18 uzyskało zgodę na opracowanie dokumentacji, 5 gromadziło pieniądze i materiały. We wsi Wandzin gdzie 4-klasowa

szkoła jest już na ukończeniu, mieszkańcy zespili swe siły z tamtejszą Gminną Spółdzielnią „Samopomoc Chłopska”, która przyszła z wydatną pomocą, lokując w tym samym budynku sklep. Wszędzie mieszkańcy wykonują prace pomocnicze: dowożą piasek, żwir, inne materiały. Jedni kupują cegłę, inni robią pustaki systemem gospodarczym, aby pomniejszyć wkład pieniężny.

PIENIĄDZE I NIE TYLKO

Zdarzają się sytuacje nie do pokonania nie tylko siłami rolników. We wsi Skrobów, gm. Lubartów, rozmawiałem z dyrektorem tamtejszej Szkoły Podstawowej, **Henrykiem Kozakiem**. Placówka mieści się w starym podworskim obiekcie. Na zewnątrz sprawa nawet miłe wrażenie swym kształtem architektonicznym. Wewnątrz jest jednak przeżarta przez grzyb. Małe okna nie dopuszczają odpowiedniej porcji światła, tak że zajęcia odbywają się przy świetłówkach. Remontowany rokrocznie budynek pochłania setki tysięcy złotych. Są to pieniądze stracone. Tamtejszy komitet budowy szkoły jako jeden ze wspomnianych osiemnastu otrzymał zgodę na przygotowanie dokumentacji. Ludzie dali plac, zebrali 500 tys. zł. Pół miliona ofiarowała gmina z nadwyżki budżetowej. Miejscowy POM zadeklarował jeden milion. Wartość roboty własnej oceniana jest wstępnie na 700 tys. zł. I na tym sprawa utknęła. Mieszkańcy postawili katego-

ryczne veto, gdy tylko za adaptację projektu zażądano od komitetu 2 miliony złotych. A innych projektów do wyboru brak. Z dokumentacją borykają się także inni organizatorzy czynów. Ludzie zachodzą w głowę, dlaczego zachęcając do społecznego wysiłku jednocześnie kompetentne czynniki nie zadbały o przygotowanie odpowiednich projektów placówek oświatowych? A przecież na dokumentację przeszkody się nie kończą. Daje o sobie znać również brak materiałów budowlanych, a zwłaszcza elementów niezbędnych do ostatecznego wykończenia budynku.

Wszyscy z zainteresowaniem obserwują inicjatywę popularnej popołudniówki „Kurier Lubelski”, która zachęca czytelników do budowy szkoły. Pieniądze płyną. Do końca czerwca ofiary sięgnęły miliona złotych. Lubelski „Instal” przekazał 2 mln, Lubelskie Towarzystwo Prasy, Radio i TV — milion. Zobowiązania finansowe nadesłały Lubelskie Zakłady Przemysłu Tytoniowego (1,5 mln) i Wschodnia Dyrekcja Okręgowych Kolei Państwowych (1 mln). Napłynęły też zobowiązania rzeczowe w postaci budowy boisk, wyposażenia rzeczowe specjalistycznych gabinetów i wielu innych.

W ogóle w miastach, zwłaszcza dużych, sytuacja jest o wiele trudniejsza, choć i tu zdarzają się sytuacje zaskakujące. Kłopoty biorą się m.in. stąd, że wyż demograficzny, koncentrujący się wyłącznie w dużych ośrodkach miejskich, wymaga budowy obiektów dużych, które dziś kosztują setki milionów złotych.

Nim odwiedziliśmy w Puławach plac budowy, miałem okazję przyrzeć się oddanej niedawno do użytku nowoczesnej Szkole Podstawowej nr 10. Takich placówek można by znaleźć w kraju więcej. O tej wspominam dlatego, że wznoszona była tylko dwa lata — o 12 miesięcy krócej niż pierwotnie planowano. A więc jednak można. Dopiero w pół godziny później zrozumiałem, dlaczego gospodarze Puław w takiej właśnie kolejności prezentowali swe inwestycyjne poczynania. Oto znajdujący się w czerwcu już w stanie surowym wielki budynek przy ul. Kołłątaja tamtejsze Przedsiębiorstwo Budownictwa Ogólnego zamierza przekazać użytkownikom we wrześniu 1986 roku, a więc 36 miesięcy przed upływem obowiązującego cyklu. Wszystko wskazuje na to, że po dwu latach budowy władze oświatowe przejmą część dydaktyczną dla 720 uczniów. Sukcesywnie oddawane będą sala gimnastyczna, basen kąpielowy i przedszkole. Łączna kubatura budynku przekroczy 30 tys. metrów sześciennych, a powierzchnia użytkowa — ponad 9 tys. metrów kwadratowych.

To właśnie w budowę tej szkoły wniosło swój niemały wkład społeczeństwo Puław. W pięć miesięcy zebrano na nią 150 milionów złotych. Gros tej sumy wniosły miejscowe zakłady przemysłowe. Właśnie o pieniądze jest w miastach jakby łatwiej. Na przykład Fabryka Łożysk Tocznych w Kraśniku w latach 1983/85 wyłożyła 2 mln na fundusz pomocy szkole, 4 mln na budowę przedszkola w Urzędowie, 30 mln na pokrycie kosztów dokumentacji i robót związanych z budową nowej szkoły podstawowej w dzielnicy fabrycznej Kraśnika. Takich potentatów jest niewielu, ale na szczęście są, a ich dyrekcje, samorządy i załogi mają zrozumienie dla potrzeb oświaty.

FABRYKI NADAJĄ TON

Na Lubelszczyźnie duże zakłady nadają ton we współpracy ze szkołami. Dało się o tym słyszeć w październiku 1984 r. zaraz po powołaniu Wojewódzkiej Rady Współdziałania Zakładów Pracy ze Szkołami (przew. **Janusz Bućko**). Rada postanowiła zachęcić wszystkie instytucje do kontynuowania dobrych tradycji patronatu i odnowienia zerwanych w ostatnich latach więzi. Będzie też koordynowała wysiłki pracodawców, upowszechniając zarazem dobre doświadczenia.

Na pierwszym spotkaniu zebrani wysunęli postulat, by do końca 1985 r. wszystkie szkoły znalazły się pod patronatem jakiegoś zakładu pracy. Sytuacja rozwija się pomyślnie. Już w lutym br. wszystkie szkoły w Kraśniku miały patronów, podobnie w Lubartowie. W Puławach na 28 placówek tylko 8 nie nawiązało współpracy. Szukają opiekunów: 5 placówek w Białym, 3 w Kazimierzu, 2 w Kocku, jedna w Łącznej, 6 w Nałęczowie, 2 w Poniatowej. Uporządkowano sytuację w 14 gminach. Najbardziej zróżnicowany stan odnotowano w Lublinie, największym skupisku szkół i przedszkoli. Jeśli ze 125 ośmiolatek, liceów i przedszkoli — 50 nie ma jeszcze stałych kontaktów z jakimś zakładem pracy, to niemal każda ze średnich szkół zawodowych ma ich od kilku do kilkunastu. I jest to zrozumiałe, ponieważ pracodawcy, przy gwałtownie skurczonym rynku pracy, mają w tym swoje interesy. Podstawówki i licea, nie mówiąc o przedszkolach, nie są tak trapujące, ale inicjatorzy nowego etapu opiekuństwa liczą, że z czasem także potrzeby tych ostatnich placówek znajdą zrozumienie.

Wizytówką w tym ruchu na Lubelszczyźnie jest **Kraśnicka Fabryka Łożysk Tocznych**, która od dziesięciu lat nieprzerwanie opiekuje się 3 szkołami podstawowymi, 4 przedszkolami, Zespołem Szkół nr 1, Zespołem Szkół Technicznych, a także Państwowym Domem Małego Dziecka. O niektórych świadczeniach już wspominałem. Jest ich znacznie więcej i w sumie sięgają dziesiątków milionów złotych, ale typ świadczeń jest znacznie szerszy. Zakładowy Komitet Opiekunów (przew. **Władysław Pudło**) stara się o wypełnienie czasu wolnego setek dzieci i młodzieży, dba o zawodową orientację uczniów, organizuje produkcję pomocy naukowych, koordynuje organizację praktyk zawodowych uczniów średnich szkół technicznych i ekonomicznych (325 osób). Fabryka prowadzi także praktyczną naukę zawodu. Młodzież ma wstęp do obiektów sportowych i kulturalnych. Korzysta z zakładowych ośrodków

wczasowych. Służby fabryczne pomagają w organizacji wycieczek, obozów i innych form wypoczynku. W 1984 r. działania te pochłonęły 2 mln zł z zakładowego funduszu socjalnego.

Tego przykładu z Kraśnika chyba nie sposób powielić, gdy jak Polska długa i szeroka wszyscy zaślaniają się reformą gospodarczą. Zapewne nie wszyscy mają takie możliwości, ale trzeba też powiedzieć, że nie staje chęci, by je znaleźć. Dlatego formy współpracy są zróżnicowane, na Lubelszczyźnie również dominują świadczenia materialne w postaci organizacji dowożenia dzieci do szkół, remontów i napraw, autokarów na wycieczki, pomocy w akcji letniej i zimowej. Pracownicy zakładów urządzają dzieciom boiska sportowe, zimą lodowiska, wykonują łatwiejsze pomoce naukowe, zwłaszcza dla młodszych klas itp.

Ale mają też miejsce współdziałania o charakterze wychowawczym. Odnotowano przypadki wspólnego zajęcia się młodzieżą niedostosowaną. Coraz częściej przedstawiciele fabryk uczestniczą w ślubowaniu klas I i VIII. Biorą też udział w szkolnych uroczystościach, współdziałają w preorientacji zawodowej uczniów. Odnotowano też przykłady pedagogizacji dorosłych.

Zespołem Szkół Geodezyjno-Drogowych opiekują się trzy przedsiębiorstwa. Pomagają one szkole m.in. w wyposażeniu nowoczesnej bazy dydaktycznej, w organizacji praktycznej nauki zawodu i praktyk zawodowych. Udośćniają też uczniom własne pracownie i laboratoria na lek-



Dyrektor szkoły w Skrobowie, Henryk Kozak, ma zafrasowaną minę. Tylko za adaptację projektu nowej placówki zażądano 2 miliony zł. Członkowie komitetu budowy zaprotestowali przeciw tak wygórowanym cenom.

cje. Stwarzają warunki do wykonania prac dyplomowych. Jeśli zachodzi potrzeba, delegują do prowadzenia zajęć w szkole najwyższej wykwalifikowanych specjalistów. W zamian za to uczniowie w okresie nasilonych urlopów letnich pracują w fabrykach zorganizowani w OHP. Wykonują też różne prace użyteczne i uświetniają występiami zakładowe uroczystości.

Skromniejszy jest zasięg współpracy Szkoły Podstawowej w Osiedlu Nałkowskich w Lublinie z zakładami „Herbapol”. W trakcie roku uczniowie otrzymują witaminowe napoje, a w wakacje — miejsca na zakładowych koloniach, sami w zamian zbierają zioła i wzbogacają część artystyczną akademii.

W SUKURS KOMITETOM RODZICIELSKIM

Zespół Doradczo-Konsultacyjny do Spraw Komitetów Rodzicielskich (przew. **Zygmunt Dresler**) powstał w lutym br. Skupiona w nim grupa działaczy dąży do rozwijania wzajemnych kontaktów komitetów i wymiany doświadczeń. Między innymi pragną zainteresować rodziców problemami współczesnej oświaty, a zwłaszcza zwrócić ich uwagę na kształtowanie charakteru własnych dzieci. Program przewiduje poszukiwanie skuteczniejszych sposobów włączenia do współdziałania ze szkołą tych rodziców, którzy są bądź obojętni, bądź zaniebują swe podstawowe obowiązki. Zespół zamierza też dokonać analizy działań, które by skuteczniej pomogły w integracji wysiłków mających na celu tworzenie społecznego frontu wychowawczego.

Od powstania w Lublinie Narodowego Komitetu Czynu Pomocy Szkole upłynęło 9 miesięcy. To niewiele, jeśli zważyć, że w krótkim okresie trzeba było podjąć przede wszystkim szereg przedsięwzięć organizacyjnych, znaleźć chętnych, którzy w tym nadal trudnym okresie chcą coś zrobić, stworzyć programy działania, a jednocześnie zamieniać słowa na fakty. Fakty dotykające dla przeciętnych ludzi, pobudzające ich wyobraźnię, zachęcające do świadczeń materialnych i fizycznego wysiłku, jeśli zajdzie po temu potrzeba. Ludzi z różnych środowisk, nie zawsze myślących tak samo. Nawet przy zachowaniu największej ostrożności w ocenie, można powiedzieć, że rozwój wydarzeń na Lubelszczyźnie niesie dobrą perspektywę. Społeczne pasje widać głęboko zapuściły korzenie w tym regionie. Na sumowanie rezultatów przyjdzie pora.

JERZY KRAŚNIEWSKI
Zdjęcia: Autor

CO ZAWDZIĘCZAM ZNP?

III NAGRODA

Kiedy zastanawiam się, jaką rolę odegrał ZNP w moim życiu, to muszę powiedzieć, że jemu to właśnie zawdzięczam między innymi ukończenie studiów wyższych. Ten właśnie fakt stawiam i cenię sobie najwyżej. Przecież dzięki uzyskaniu wyższego wykształcenia rozszerzyły się moje horyzonty myślowe, mój sposób bycia i działania.

Dzięki przynależności do Związku mogłem też korzystać z wielu imprez turystycznych, wycieczek i akcji organizowanych przez Związek w kraju i zagranicą...

Członkiem ZNP zostałem zaraz po wyzwoleniu, które u nas, na północnym Mazowszu, nastąpiło w styczniu 1945 roku. Byłem wtedy jeszcze niewykwalifikowanym nauczycielem szkoły powszechnej, bez doświadczenia, bo nawet prowadzone przeze mnie tajne nauczanie podczas okupacji miało zupełnie inny charakter, niż praca w normalnej szkole.

Na pierwszym organizacyjnym zebraniu członków ZNP zostałem wybrany prezesem Ogniska w gminie Karwacz, w powiecie przasnyskim. Było to wyróżnienie, ale równocześnie poważny obowiązek przewodniczenia dość licznemu zespołowi nauczycielskiemu. Na szczęście, formy działalności związkowej tamtych lat spełniały to, czego oczekiwali nauczyciele od swojej organizacji związkowej.

Wówczas ZNP przede wszystkim pomagał zdobywać kwalifikacje. Organizował ciekawe konferencje rejonowe, które równocześnie były formą życia kulturalnego i towarzyskiego; przychodził z pomocą w załatwianiu tak wtedy trudnych spraw socjalnych oraz rozstrzygał wszystkie sporne sprawy z administracją, jak również i między członkami w poszczególnych placówkach oświatowo-wychowawczych.

Szczególnie cenna była pomoc instruktażowa przedwojennych członków ZNP, którzy swoją wiedzę i doświadczenie przekazywali niekwalifikowanym na kursach, konferencjach i lekcjach pokazowych.

W listopadzie 1946 roku, po skończeniu kursów przygotowawczych — znalazłem się w pierwszej grupie zdających egzaminy eksternistyczne.

INSTYTUT PEDAGOGICZNY ZNP

Nie poprzestałem jednak na uzyskanych kwalifikacjach nauczycielskich; chciałem ukończyć studia wyższe. Zostałem nawet przyjęty, po pomyślnie złożonych egzaminach, na wydział konsularny SGSZ, uczelni już dziś nie istniejącej, przy ul. Wawelskiej w Warszawie, ale z braku odpowiednich warunków materialnych i zdrowotnych musiałem z tego rodzaju studiów zrezygnować. I wtedy przyszedł mi z pomocą właśnie ZNP.

W tamtych latach zdobywanie wykształcenia było sprawą osobistą. Nie było dla kształcących się zaocznie żadnych ulg. Wprost przeciwnie, pracownicy administracji szkolnej patrzyli zawistnie i niechętnie na tych, którzy poprzez naukę podnosili swoje kwalifikacje.

Ja miałem szczęście trafić do Instytutu Pedagogicznego ZNP w Warszawie na kierunek polonistyczno-historyczny, odpowiadający moim zainteresowaniom. Dyrektorem tego Instytutu był profesor Stefan Balej, a kierownikiem naszych przedmiotowych sekcji — Jan Starościak — wspinał się organizator, troskliwy opiekun i przyjaciel powierzonych mu słuchaczy. Po trafił zawsze pomóc i podtrzymać na duchu wapiących w swoje siły. Było to szczególnie ważne, bo studia były naprawdę trudne i gdyby nie to duchowe i moralne wsparcie profesorów, wielu by po prostu odpadło.

Kierownictwo instytutu wychodziło z założenia, że są to studia na poziomie uniwersyteckim. Dlatego zadano między innymi o najlepszych wykładowców, o czym świadczą w moim indeksie, między innymi nazwiska profesorów: Suchodolskiego, Okonia, Lewina, Trzynadłowskiego, Szmidtowej, Skorupki, Wojeńskiego, Tokarskiego, Głowackiej, Jerzego i Tadeusza Mantułow, Kieniewicz, Wolińskiego, Kułi...

Wykłady odbywały się na sesjach — w zimie w Warszawie, w lecie w Oliwie. Takie zlokalizowanie zajęć okazało się bardzo praktyczne; bo po pierwsze — łatwiej można było zaangażować wykładowców poprzez zapewnienie im możliwości spędzenia urlopu nad morzem, a po drugie słuchacze również, obok studiowania, mieli dobre warunki wypoczynku w miejscowościach tak atrakcyjnych.

Większość zajęć odbywała się w salach ZNP przy ul. Spasowskiego, gdzie też mieliśmy zapewnione noclegi i wyżywienie. Dawało to oka-

zję do poznawania na bieżąco wszystkich aktualnych problemów, którymi zajmował się ZG ZNP. Spotykaliśmy się bowiem z przedstawicielami ministerstwa oświaty, władz politycznych, nauki i kultury. Dyrekcja Instytutu robiła wszystko, by nam zapewnić odpowiednie warunki studiów. Na przykład podczas Światowego Festiwalu Młodzieży Demokratycznej w Warszawie, kiedy nasz hotel był zajęty, przekwaterowano wszystkich do hotelu poselskiego przy ul. Wiejskiej. Po to tylko, abyśmy mogli ukończyć w terminie sesję egzaminacyjną. I jeszcze jedno: będąc w Warszawie stanowiliśmy kadrę związkową, gotową, w miarę potrzeby, do wykonania powierzonych nam przez ZNP zadań. Na przykład, zostaliśmy oddelegowani do Komisji przeprowadzających wówczas obowiązkowe dla wszystkich nauczycieli egzaminy ideologiczne. Ja przewodniczyłem takiej komisji w byłym powiecie Ostrow Mazowiecka.

Stanowiliśmy też eksperymentalną grupę kształcenia zaocznego, prowadzonego przez ZNP przy dużym zainteresowaniu ministerstwa oświaty, które nosiło się z zamiarem upowszechnienia tej formy studiów.

Byliśmy ostatnim rocznikiem, kończącym kształcenie w Instytutach Pedagogicznych ZNP. To właśnie ja byłem tym ostatnim, którego egzamin dyplomowy zakończył istnienie wszystkich Instytutów. Było to w końcu czerwca 1951 roku. Zakończono już wszystkie egzaminy, a tylko ja musiałem czekać na przyjazd z Wrocławia swojego promotora — prof. J. Trzynadłowskiego, u którego pisałem pracę dyplomową z teorii literatury. Ten ostatni egzamin okazał się dla mnie nawet bardzo pomyślny. Widocznie komisja egzaminacyjna chciała po sobie pozostawić jak najlepsze wrażenie, bo nadała mi dyplom z wynikiem bardzo dobrym.

Zawdzięczam więc Związkowi Nauczycielstwa Polskiego zdobycie wykształcenia i w następstwie tego zatrudnienie w Liceum Ogólnokształcącym w Przasnyszu. Już o wiele łatwiej było mi ukończyć później studia magisterskie i podyplomowe na Uniwersytecie Warszawskim. Dlatego też czuję się bardzo zobowiązany do brania udziału w zjazdach absolwentów Instytutów Pedagogicznych ZNP. Ostatnio taki zjazd odbył się w 1984 r. i tak jak poprzednio, był okazją nie tylko do spotkań koleżeńskich, lecz przede wszystkim poznania aktualnych problemów oświatowych i związkowych, referowanych przez przedstawicieli Ministerstwa Oświaty i ZG ZNP.

Ponieważ podjąłem pracę w mieście powiatowym — a wtedy wykształcenie wyższe nie było jeszcze tak powszechne jak obecnie — dość szybko awansowałem. Po pięciu latach pracy nauczycielskiej w Liceum Ogólnokształcącym zostałem jego dyrektorem. Pełniłem tę funkcję nieprzerwanie przez 22 lata, aż do przejścia na emeryturę.

SATYSFAKCJA Z PRACY

Największą dla mnie satysfakcją było przekonanie o dobrze spełnianych obowiązkach. Jako dyrektor liceum i przez pewien czas liceum dla pracujących i średniego studium zawodowego — wręczałem dyplomy maturalne. Ile ich rozdałem?...

Równocześnie z pracą zawodową wiązała się działalność społeczna w środowisku. Obarczano mnie różnymi funkcjami o charakterze reprezentacyjnym lub też roboczym, gdzie potrzebny był odpowiedni poziom wiedzy. Przeważnie były to funkcje przewodniczących na szczeblach powiatu. I tak przewodniczyłem Powiatowej Komisji Obchodów Tysiąclecia, komisjom wyborczym, współredagowałem program FJN, pełniłem nawet przez długie lata funkcję przewodniczącego Powiatowej a później Wojewódzkiej Komisji Spółdzielni Uczniowskich.

Najdłużej i najwięcej jednak pracowałem w TWP, będąc przez 20 lat przewodniczącym Zarządu Powiatowego oraz w ZNP, w którym przez cztery kadencje pełniłem funkcję prezesa Zarządu Powiatowego.

Prasa, radio i telewizja dość często popularyzowały naszą działalność w byłym powiecie przasnyskim. Tradycje tej dobrej pracy nadal są kontynuowane w województwie ostrołęckim, w skład którego wchodzi obecnie Przasnysz.

Tu, w Przasnyszu, rozwijając inicjatywę dobrowolnego opodatkowania się nauczycieli — wybudowano wspinał się Dom Nauczyciela z bogato wyposażonym klubem, hotelem, biurem, biblioteką pedagogiczną i mieszkaniami dla pedagogów. Zarząd Oddziału Powiatowego ZNP w dniu oddania do użytku tego domu otrzymał sztandar, który z czasem w uznaniu zasług nauczycielskich został udekorowany Odznaką Tysiąclecia.

ZNP mógł załatwić pozytywnie dużo spraw, nawet nieraz trudnych, chociaż czasami niełatwo było przełamać mentalność niektórych osób pełniących najważniejsze funkcje w powiecie. Oto jeden z takich przykładów. Przewodniczącym prezesa Zarządu Oddziału Po-

wiatowego ZNP od kolegi, zostałem przez niego poinformowany o jednej tak zwanej trudnej sprawie. — Wiesz — mówił mi mój poprzednik — w czasie kadencji udało mi się zrealizować wszystkie wnioski i postulaty członków. Ale jedna sprawa wciąż czeka na pomyślnie zakończenie. — Co to za sprawa? — zapytałem. — Chodzi o mieszkanie dla koleżanki Z. Tyle razy występowałem o przydział dla niej i nic. Odmawiają...

Znałem tę koleżankę. Rzeczywiście jej sytuacja mieszkaniowa była tragiczna. Dlaczego jednak mój poprzednik nie mógł w tej kwestii pomóc? Oczywiście, swoje urzędowanie rozpocząłem od „studiowania kwestii koleżanki Z” Jej papiery były w porządku. Dlaczego więc władze są takie uparte?

Któregoś dnia jestem na zebraniu, w którym uczestniczył przewodniczący Prezydium Powiatowej Rady Narodowej. Poszedłem w przerwie do niego i spytałem. Co jest z mieszkaniem dla koleżanki Z. — Jeśli chcecie mieć, towarzyszu przewodniczący, autorytet i szacunek wśród nauczycieli, to musicie to mieszkanie przydzielić! — Niemożliwe — słyszę.



ZNP tradycyjnie patronuje nauczycielskiemu ruchowi artystycznemu.

Foto: Archiwum

— Dlaczego? — pytam. W tym momencie przedstawił mi powód. Zdziwiłem się. — I to jest główna przyczyna, dla której nie dajecie jej mieszkania? A czy wiecie, że jej mąż hitlerowcy powiesił a ona wiele lat spędziła w obozie koncentracyjnym w Ravensbrück. Wróciła schorowana. Pomagamy jej, jak możemy. Jej i synowi, którego wychowuje sama... I nie dość na tym, że Niemcy tak okrutnie obeszli się z nią i jej rodziną, to wy jeszcze próbujeć jej życie utrudniać? Władza ludowa musi jej przyjąć z pomocą!

Zmieszał się. Spojrzał na mnie i bez słowa odszedł.

Kilka dni później przychodzi do mnie pismo z Prezydium PRN. Informuje się w nim mnie osobiście, iż decyzją Miejskiej Rady Narodowej przydzieli się mieszkanie koleżance Z.

Nie muszę pisać, jak byliśmy wszyscy z tego faktu zadowoleni. Ale nie koniec na tym. Minęło kilka dni i spotykam koleżankę Z. — Jak się mieszka w nowym mieszkaniu? — pytam. — Jeszcze nie mieszkam — odpowiada.

— Przecież jest w tej sprawie decyzja. — Ano decyzja jest, tylko pewna ważna urzędniczka z MRN jest na urlopie i nikt ze mną nie chce rozmawiać. Mam na nią czekać.

Podjęmę więc decyzję. — Wprowadziła panią. Bo jeszcze nam ktoś pusty lokal zajmie.

Wkrótce koleżanka Z. podczas powiatowej uroczystości nauczycielskiej została odznaczona Krzyżem Kawalerskim. Jej odznaczenie spotkało się z entuzjastycznym przyjęciem. Przewodniczący Prezydium PRN powiedział do mnie: — Miałeś rację, jej się naprawdę należało mieszkanie i odznaczenie.

Nasz powiatowy ZNP podejmował i załatwiał pomyślnie wiele trudnych spraw, szczególnie konfliktowych na linii: władza — nauczyciel. Pomyślnie załatwiane sprawy ludzkie, oczywiście, cieszyły i dawały satysfakcję, mimo że traktowane były, chyba zupełnie słusznie, jako coś obowiązkowego ze strony Związku, za co nie należy nawet dziękować.

TURYSTYKA I WYPOCZYNEK

Poza osobistą satysfakcją, wynikającą ze świadomości, że komuś można było pomóc, że udało się imprezy czy też dobrze zostały zrealizowane plany działalności związkowej — praca w ZNP przysparzała też innych radości. Dostarczały ich imprezy turystyczne i kulturalne, organizowane w nagrodę za pracę społeczną przez poszczególne instancje związkowe. Ta forma nagrody, niezależnie od częściowej odpłatności, którą wnosili uczestnicy, dawała dużo satysfakcji, dostarczała wiele emocji i wrażeń. Pozwalała lepiej poznać własny kraj, wyjechać zbiorowo za granicę, przy minimalnych wysiłkach osobistych, związanych z załatwianiem formalności i samej organizacji wyjazdu i pobytu. Te formy były realizowane przez wszystkie ognia związkowe — od ognisk, poprzez okręgi i Zarząd Główny. Jako długoletni działacz związkowy, a jestem nim nadal w sekcji historycznej okręgu ostrołęckiego ZNP, miałem możliwość brać udział w licznych tego rodzaju imprezach.

Rozwijałem również i sam zamiłowanie do turystyki we własnym Oddziale Powiatowym w Przasnyszu, jako organizator i kierownik wycieczek. Nasze dochody z Klubu Nauczyciela i hotelu związkowego pozwalały na dofinansowanie wycieczek z ognisk, organizowanych nieodpłatnie dla dzieci członków Związku oraz dla najbardziej zasłużonych działaczy Oddziału Powiatowego ZNP.

Szczególnie cenione były wycieczki zagraniczne — na Węgry, do Czechosłowacji i NRD. Jako organizatorzy staraliśmy się maksymalnie wykorzystać czas, żeby jak najwięcej pokazać i dostarczyć wrażeń uczestnikom tych wycieczek.

Szczególne uznanie za rozwijanie turystyki należało się Okręgowi Warszawskiemu ZNP. Poza wycieczkami rozwijał on także formy, jak zloty, rejsy i kursy w atrakcyjnych miejscowościach wczasowych. Dzięki nim miałem okazję lepiej poznać Zakopane, Szklarską Porębę, Jaszowiec. Mam wielką osobistą wdzięczność dla kolegów z Okręgu Warszawskiego ZNP za umożliwienie mi wzięcia udziału w wycieczce zagranicznej do Jugosławii w 1970 roku. Była wspaniała i niezapomniana. Mieliśmy do dyspozycji autokar, namioty, kuchenki gazowe i własny prowiant. Niezależnie od miejsca i terminu noclegów oraz posiłków, mogliśmy zwiedzać najpierw Belgrad i część środkową Jugosławii w kierunku granicy albańskiej, skąd wybrzeżem Adriatyku, zatrzymując się na kilka dni w atrakcyjnych miejscowościach nadmorskich, dojechaliśmy prawie do granicy włoskiej, a następnie przez Sarajewo i Zagrzeb wracaliśmy do kraju. Częste zmiany pobytu, pełna swoboda, klimat śródziemnomorski, mnóstwo zabytków — dostarczały niezapomnianych przeżyć i wrażeń. Jeszcze więcej przeżyć dostarczyła mi zorganizowana przez ZG ZNP wycieczka studyjna w 1980 r. do RFN.

Gdyby nie ZNP, nigdy nie byłbym w stanie zwiedzić tyle miast i zabytków kultury o światowej sławie. To cieszy szczególnie dziś.

MARIAN RAWA
Przasnysz

WYBRAŁAM SZCZAWNO

Trzy zadbane internaty Zespołu Szkół Ceramicznych w Szczawnie-Zdroju noszą miano górskich kwiatów: „Szarotka”, „Krokus”, „Sasanka”. Dodatkowo wydzierzawiono jeszcze od jednej z tutejszych instytucji miejsca w „Stokrotce”. I ten bukiecik sympatycznie i elegancko zaofiarowano w bieżącym sezonie wakacyjnym dzieciom nauczycielskim i ich rodzicom, aby — na zasadach wypoczynku profilaktycznego — mogli skorzystać z zabiegów leczniczych w słynnym szczawieńskim zakładzie przyrodolecznictwa.

Inhalacje, czterokomorówka, kąpiele i inne formy terapii mają — zdaniem lekarzy — korzystny wpływ zwłaszcza w przypadkach dolegliwości dróg oddechowych. Nie trzeba dodawać, jak ustępuje tu, po zmudnych zabiegach, zawodowa choroba pedagogów — zapalenie krtani i strun głosowych. Również astma — znowa nie tylko wieku dziecięcego — wyraźnie hamuje swoje złośliwe ataki w warunkach skąpanego w zieleni, podgórskiego Szczawnia-Zdroju.

Zatem nie brakło chętnych do przyjazdu na eksperymentalny turnus w tutejszym sezonowym domu Wczasów Profilaktycznych. Gospodarzem tego trójinternatowego obiektu — na zlecenie resortowego Zakładu Usług Socjalnych w Warszawie — jest Kuratorium Oświaty i Wychowania w Wałbrzychu.

Cały internatowy personel — z zastępczynią dyrektora wspomnianego Zespołu Szkół Ceramicznych, Janiną Malinowską — podjął się prowadzić turnusy kosztem trzech czwartych swoich wakacyjnych urlopów. Dopiero 14 sierpnia — a więc

na krótko przed rozpoczęciem nowego roku szkolnego — po pożegnaniu drugiego już dwudziestodniowego turnusu, skorzysta z kilkunastu dni wypoczynku 38 osób zajętych obsługą wczasowiczów.

A mieli tu sporą grupę gości (114 na każdym turnusie, w tym ok. 70 dzieci). Skierowania rozprowadzały kuratoria w całej Polsce, przy czym, niestety, nie obyło się bez zgrzytów. Pożyteczny eksperyment nie wszędzie był należycie reklamowany i nie wszyscy chętni od razu uzyskali miejsce.

x

W „Sasance” zastajemy nauczycielkę Szkoły Podstawowej nr 29 z Poznania, Czesławę Kanię. — Dwa lata czekałam na skierowanie. Kiedyś z powodzeniem leczyłam się w Szczawnicy. Wybrałam teraz Szczawnio, kierując się jedynie ... podobieństwem brzmienia obu nazw. Nie żałuję. Mój dziesięcioletni syn, Robert, wyraźnie już skorzystał z zabiegów, na które chodzimy oboje. Leczył się dwa lata temu w Rabce, ale tam wczasy trwały w okresie roku szkolnego. Oderwanie od nauki mści się potem na ocenach, a poza tym dzieciak zaczął wykazywać objawy typowej choroby sierocej. Tutaj eksperyment oceniam na piątkę. Dzieci są z rodzicami, grają w tenisa, chodzą na basen, biegają na wycieczki.

W tym samym internacie mieszka też (i leczy drogi oddechowe) z dwoma córkami członkini ZNP, Zofia Kędziora, nauczycielka Przedszkola nr 2 w Przemyślu. — Nasze odległe województwo tym razem

otrzymało tylko sześć miejsc do tego uzdrowiska. Moja rodzina wykorzystała więc aż połowę skierowań! Wyżywienie jest tu dobre, opieka na wysokim poziomie. W Szczawnie-Zdroju jestem po raz pierwszy i z przyjemnością zauważyłam, że kuracjom zapewnia się tutaj prawdziwy festyn imprez kulturalnych — od koncertów w 150-lecie urodzin Henryka Wieniawskiego, po występy kabaretów i programy poetyckie w wykonaniu znanych aktorek. Tylko... wszystko tu sporo kosztuje. Wycieczki, które się nam oferuje — także! (450 zł od osoby). Myślę, że dlatego frekwencja nie jest zbyt liczna. Za wstęp na basen płaci się jednorazowo — po 20 zł. Jeśli ktoś chciałby skorzystać ze wszystkich ofert, musiałby być chyba Krezusem.

A oto opinia Mariana Abramka z woj. katowickiego: — Dobrze, że otrzymaliśmy dwa skierowania bezpłatne. Z pensji nauczycielskiej trudno coś wyżyć, gdy ma się na utrzymaniu chorego syna. Dlatego myślę nawet o zmianie zawodu, zwłaszcza, że u nas na Śląsku dla fizyka ze specjalnością obsługi komputerów — o odpowiednie zajęcie nie trudno. Dodam, że zadymienie regionu odbija się na zdrowiu, a przepisy nie przewidują dodatków. Wraz z synem korzystałem z leczenia w Szczawnie już w ubiegłym roku. Mój Adam poprzednio zapadał kilkanaście razy na anginę. Leczenie sprawiło, że choroba ta powróciła już później tylko raz. Mam nadzieję, że jej nawroty zupełnie wyeliminuje obecny pobyt profilaktyczny.

W „Szarotce” udaje się nam porozmawiać z fizykiem Zespołu Szkół Elektrycznych w Nisku (woj. tarnobrzeskie), Danutą Czubak. — Walczyłam jak lew o te wczasy dla córek — dziesięcioletniej Izabeli i pięcioletniej Joanny i musiałam składać odwołanie aż do resortowego zakładu w Warszawie, aby móc wyjechać do Szczawnia. Na szczęście, uznano to odwołanie — ale po co było tyle zdenerwowania. Nie wszystkie miejsca — okazuje się — są zajęte, a Warszawa opłaca całość!

Uzdrowisko to odwiedzamy po raz pierwszy — kontynuuję — rezultaty leczenia tutaj znalazł poprzednio, ale jedynie z rozmów z koleżankami. Nie przesadzały. Dzieci chętnie korzystają z zabiegów i myślę, że stan dróg oddechowych moich córek po pobycie tutaj znacznie się poprawi.

Nie od przypadkowych informatorów zdobyła wiadomości o możliwościach zabiegów profilaktycznych dla swych trzyletnich bliźniąt, Sebastianą i Aleksandrą, młoda nauczycielka — Elżbieta Traba, ze Szkoły Podstawowej nr 26 w Olsztynie. To prezesa tamtejszego ogniska ZNP, Jolanta Kroskiewicz, dostarczyła szczegółowych informacji, a co więcej, załatwiła nową członkinią Związku wszystkie niezbędne formalności, aby bliźnięta wraz z matką mogły wykurować się w Szczawnie.

— To cudowne, że mogłam tu przyjechać — nasza rozmówczyni z Olsztyna nie kryje uznania dla związkowej inicjatywy w jej sprawie. — Mieszkam w „Stokrotce”, która jest wyposażona wręcz luksusowo, a ma charakter prawdziwie rodzinnego domu. Nawet jadłospis dostosowany jest do wieku dzieci. Sporo mięsa, jarzyn, sera. Jedynie mleko (choć na śniadanie są mleczne zupy) dla moich maluchów muszę zawsze dokupić.

W opiece nad dziećmi pomaga koleżance Elżbiecie jej bratowa, Renata Traba, wypoczywająca w pobliskim domu wczasowym „Era” dyrektorka olsztyńskiej Szkoły Podstawowej nr 13. Ocenia ona: — Warunki, w jakich kurują się tutaj dzieci nauczycielskie wraz z matkami, znacznie przewyższają ofertę przeciętnego domu wczasowego. Mam samą najlepszą okazję do porównania. Organizatorom eksperymentu szczawieńskiego można szczerze pogratulować!

Skoro w opinii wypoczywających tutaj jest tak dobrze, to z kierowniczką owego sezonowego Domu, wspomnianą już wyżej Janiną Malinowską, próbujemy wspólnie rozwiązać równanie z jedną niewiadomą: ile osób można by tu jeszcze w przyszłym sezonie przyjąć dodatkowo?

„114 plus X” jednak okazuje się równaniem bez odpowiedzi. Kuchnia internacka, ulokowana w ciasnocie w podziemiach, gotująca na gazie (nie w kotłach parowych) z trudnością (choć dobrze i smacznie) wyżywić może gości i personel domu. I tu właśnie znajduje się klucz do powiększenia liczby miejsc, z których powinno skorzystać więcej, aniżeli dotychczas, dzieci nauczycielskich z rodzinami.

— Nabudowano w naszym uzdrowisku mnóstwo prywatnych willi. O kwatery, choć drogie, nie byłoby więc trudno. Ale gdzie żyć nauczycieli z dziećmi? Sanatorium — jedyne, też borykające się z ciasnotą — tego się nie podejmie — słysze od zastępczyni dyrektora Zespołu Szkół Ceramicznych, społecznie pełniącej też funkcję sekretarza KM PZPR w Szczawnie. A może — przy decydującym współudziale resortowego Zakładu Usług Socjalnych — postawić na budowę szkolnego stołówkowego zaplecza dla tego Zespołu Szkół, co pozwoliłoby w bliskiej przyszłości przyjmować tu sporą, dodatkową liczbę dzieci z rodzinami?

Mariaż internatów z czasami nauczycielskimi obu stronom wyszedł już na zdrowie. Warszawa zakupiła dla owego, sezonowego przecieży domu np. odbiorniki telewizyjne, a ponadto wiele sprzętu. Po wczasach zostanie to wszystko do dyspozycji internatu. Władze Szczawnia-Zdroju zapewniły znaczną pomoc w przydziałach żywności. Istnieją więc warunki do rozszerzenia tej formy wypoczynku — na wagę zdrowia.

JANUSZ TRZCIANKA

CZYTELNICY MAJĄ GŁOS

BILETY I NIE TYLKO

Uznałam za konieczne napisanie kilku ciepłych słów o pracy Klubu Nauczycieli przy ul. Gocławskiej 4 na Pradze Południe. Nasz klub posiada dość skromne pomieszczenia i wyposażenie, więc przy konkurencji wszelkich ofert kulturalnych stolicy musiał wypracować własne atrakcyjne dla nauczycieli, formy działania.

Oczywiście, w życiu klubu uczestniczą także inni pracownicy oświaty i ich rodziny. Największym powodzeniem cieszą się wielce dla nas pożyteczne kursy kroju i szycia, kursy kosmetyczne i racjonalnego żywienia. Osobiście, jako nauczycielka historii, najbardziej cenię wycieczki, których klub organizuje kilka czy nawet kilkanaście w każdym roku.

Dzięki nim nauczyciele, często z rodzinami, mogą poznać prawie całą Polskę, jej historię, architekturę, obyczaje, przyrodę. Bo różne są trasy i różne cele tych

jedno- czy dwudniowych wypadów. Wiodły już one m. in. szlakiem piastowskim, w Bieszczady, do Puszczy Białowieskiej, na Roztocze Lubelskie, szlakiem Kopernika przez Warmię, do Zamku Królewskiego. Wycieczki zawsze stanowiły świetny relaks, oderwanie od codziennych kłopotów, a wszystkie są opisane w „Kronice Klubu”.

Bardzo cenioną formą pracy tej placówki jest rozprowadzanie biletów bądź abonamentów do teatrów i na imprezy kulturalne. To mobilizuje do korzystania z nich, zwłaszcza że koszt wycieczek i części biletów pokrywa się w znacznym stopniu z funduszu socjalnego.

Do szczególnie czynnych uczestników życia klubu należą emeryci. Mają dni stałych spotkań z udziałem zaproszonych gości. Sekcja emerytów organizuje również wiele własnych, atrakcyjnych wycieczek.

To, że nasza placówka aktywnie uczestniczy w życiu dzielnicy, zawdzięczamy m. in. zaangażowaniu kol. Barbary Krzyńskiej, która od 1980 r. pełni funkcję kierownika klubu. Jako nauczycielka z zawodu zna potrzeby tego środowiska, potrafi dotrzeć i nawiązać kontakt z różnymi placówkami w tak rozległej dzielnicy.

KRYSTYNA BOŻEK

Warszawa

SZKOŁY GRUNWALDU

Jedną z pięknych form wyróżnienia szkoły za rzetelną codzienną pracę, za bardzo dobre wyniki w nauce, działalności społecznej, sporcie i innych dziedzinach wychowania — jest nadanie przez Kuratorium Oświaty i Wychowania w Olsztynie miana „Szkoły Grunwaldu”. Aby uzyskać to zaszczytne miano, które w świadomości naszego narodu kojarzy się z zwycięstwem — trzeba być szkołą najlepszą z najlepszych! Spośród kilkunastu takich szkół w województwie olsztyńskim, które od 1973 roku uzyskały to zaszczytne miano, jedną ze szczególnie wyróżniających się, jest Szkoła Podstawowa nr 4 w Olsztynie, w której pod koniec bieżącego roku szkolnego odbył się II Zlot „Szkoł Grunwaldu”.

Gospodarz Zlotu olsztyński „czwórka” nosząca imię Janusza Kusocińskiego, jest szkołą sportową. Mimo poważnych trudności wynikających z ciasnoty — bo szkoła „peka w szwach”, a lekcje trwają aż do siedemnastej — udało się jednak osiągnąć tej placówce niebagatelne wyniki sportowe, oraz przodować w innych dziedzinach.

W olsztyńskim zlocie uczestniczyło wiele szkół z całego województwa, m. in. z Mrągowa, Zalewa, Korsza, Biskupca oraz kil-

ka szkół z Olsztyna. „Czwórka” zaprezentowała się godnie i z rozmachem, odpowiednim do wagi tej uroczystości. Hasłem przewodnim były 565 rocznica grunwaldzkiego zwycięstwa, oraz 40 rocznica zwycięstwa nad faszyzmem i 40 rocznica powrotu Ziemi Zachodnich i Północnych do Macierzy.

W uroczystym apelu udział wzięły poczty sztandarowe „Szkoł Grunwaldu”, delegacje młodzieży, nauczyciele oraz zaproszeni goście. Ciekawy montaż słowno-muzyczny (począwszy od „Bogurodzicy”, aż po poezję i pieśni ostatniego 40-lecia) stanowił prawdziwą lekcję historii. Temu samemu celowi służyła wycieczka uczestników zlotu do Domu Polskiego, instytucji wielce zasłużonej niegdyś w krzewieniu polskości na terenie Warmii i Małur.

WIESŁAW CZERMAK

Lidzbark Warmiński

NIE TYLKO „MERECZANKA”

Otrzymałem 25 numer Waszego tygodnika z 23 VI 1985 r., gdzie między innymi znalazłem artykuł dr. Wojciecha Podgórskiego pt.: „Brawa dla litewskich gości”. W artykule tym autor wspomina o polskich zespółach ludowych w Wilnie i na Wileńszczyźnie. Otóż była tam drobna nieścisłość, ponieważ dwa razy wymieniona została „Mereczanka” a nie wspomniano o „Świteziance”, którą jako drugi zespół (po „Wilence” w 1972 r.) założyłem w 1976 roku przy Szkole nr 29 z polskim językiem wykładowym.

Dziękuję serdecznie redaktorom „Głosu Nauczycielskiego”, jak również Autorowi p. Wojciechowi Podgórskiemu za miłe słowa o naszej działalności. W najbliższym czasie prześlę folderki „Wilenci” i „Świtezianki”.

WLADYSŁAW KORKUC

Wilno (ZSRR)

ZA WŁASNE PIENIĄDZE

W mieście i gminie Ostrzeszów wiele szkół pracuje w trudnych warunkach. Potrzebne są nowe budynki szkolne. Kłopoty, te są przedmiotem wielu analiz i starań o pieniądze i materiały. Efektem jest na przykład rozbudowa sali gimnastycznej przy Szkole Podstawowej nr 1 w Ostrze-

szowie. Obiekt oddany zostanie do użytku w końcu 1985 roku. Poszerzona sala pozwoli na prowadzenie zajęć wf w odpowiednich warunkach.

W latach 1985/87 planuje się rozbudowę szkoły podstawowej we wsi Rogoszyce. Będzie to inwestycja prowadzona częściowo czynem społecznym. Wkład ludności wyniesie 30 proc. wartości szkoły. Zebrano już pieniądze od mieszkańców, zakupiono cement i wykonano 7500 pustaków.

W grudniu 1984 r. we wsi Siedlików, gdzie warunki nauczania są bardzo trud-

ne, powstał społeczny komitet narodowego czynu pomocy szkole. Komitet ten wystąpił z inicjatywą budowy w czynnie społecznym nowej 8-klasowej szkoły. Na początek zebrano już 320 tys. zł. Społeczeństwo tej wsi podjęło uchwałę o przekazanie na ten szlachetny cel z funduszu wiejskiego sumy 300 tys. zł, co pozwoli na zakup materiałów potrzebnych do produkcji pustaków.

W wyniku starań do planu inwestycyjnego na lata 1986—1990 wprowadzona została budowa Domu Nauczyciela we wsi Niedźwiedź. Powyższe zadania ujęte są w programie wyborczym miasta i gminy Ostrzeszów i jak dotąd są właściwie realizowane.

HENRYK PUTERCZAK

Ostrzeszów, woj. kaliskie

PYTAJ-ODPOWIEMY

GODZINY PONADWYMIAROWE DYREKTORA

Czy nauczycielom, którym powierzono funkcje kierownicze (dyrektorom) w placówkach opiekuńczo-wychowawczych (np. w świetlicach), mogą być przydzielane godziny ponadwymiarowe? (A.B. — Czaplinski)

Zgodnie z par. 4, ust. 1 zarządzenia ministra oświaty i wychowania z 20 lipca 1982 r. w sprawie obowiązkowego wymiaru zajęć dydaktycznych (wychowawczych, opiekuńczych) nauczycielom, którym powierzono funkcje kierownicze w szkołach (Dz. Urz. MOiW nr 9, poz. 81), nauczycielom, którym powierzono funkcje kierownicze w placówkach opiekuńczo-wychowawczych, mogą być przydzielane godziny ponadwymiarowe m.in. w przypadkach, gdy potrzeba przydzielenia tych godzin wynika z konieczności zapewnienia prawidłowej organizacji pracy. Zgodnie z obowiązującymi przepisami, decyzje w tych sprawach podejmuje władza szkolna, której dana placówka podlega.

DODATEK ZA TRUDNE WARUNKI PRACY BIBLIOTEKARZA

Jestem nauczycielem o 27-letnim stażu pracy w oświacie, w tym od 2 lat jestem wychowawcą w państwowym domu dziecka. W organizacji państwowego domu dziecka na rok szkolny 1985-86 przewidziany jest etat bibliotekarza. Jestem zainteresowany przejściem na ten etat, ponieważ już mam przygotowaną czytelnię i księgozbiór. Proszę o wyjaśnienie, czy w przypadku przejścia na ten etat zachowuję prawo do 25 proc. dodatku za trudne warunki pracy? (A.B. — Częstochowa)

Po przeniesieniu na stanowisko nauczyciela - bibliotekarza w domu dziecka nadal będzie miał kolega uprawnienia do 25 proc. dodatku przysługującego pracownikom pedagogicznym państwowych domów dziecka.

UPRAWNIENIA STUDIOWYCH PRACOWNIKÓW — NIENAUZCZycIELI

Jestem księgową zatrudnioną w szkolnictwie w małej miejscowości. Po podjęciu studiów zaocznych w wyższej uczelni ze względu na przeniesienie meźni do innej miejscowości musiałam zmienić pracę. Nowa władza szkolna odmawia mi świadczeń z tytułu studiów. W związku z powyższym proszę o udzielenie odpowiedzi na pytanie, jakie świadczenia przysługują pracownikowi podnoszącemu kwalifikacje bez skierowania z obecnego miejsca pracy? (A. B. Czyżew — Osada)

Pracownikom szkolnictwa nie będącym nauczycielami, którzy podnoszą swoje kwalifikacje, przysługują obowiązkowo wszystkie świadczenia i ulgi przewidziane w przepisach uchwały nr 263 Rady Ministrów z 23 grudnia 1982 r. w sprawie podnoszenia kwalifikacji pracowników uspołecznionych zakładów pracy oraz uprawnień przysługujących tym pracownikom (Monitor Polski nr 1, poz. 6 z 1983 r.), w przypadku, gdy została zawarta umowa określająca wzajemne prawa i obowiązki zakładu pracy i pracownika oraz wydane zostało przez zakład pracy skierowanie upoważniające pracownika do podjęcia nauki.

Natomiast pracownikom podnoszącym kwalifikacje bez skierowania z zakładu pracy (bez zawarcia umowy o wzajemnych prawach i obowiązkach pracownika i pracodawcy) w zasadzie świadczenia i ulgi określone w uchwale nie przysługują. Zakład pracy zgodnie z par. 15 uchwały — może udzielić pracownikom bezpłatnego urlopu szkoleniowego i zwolnić z części dnia pracy w wymiarze ustalonym na zasadzie porozumienia stron oraz pokryć w części koszty związane z podnoszeniem kwalifikacji, ale zobowiązania te dla zakładu pracy nie są obligatoryjne, lecz fakultatywne.

Ministerstwo Pracy, Plac i Spraw Socjalnych przyjęło interpretację, że jeśli zakład pracy ma możliwości i chce przyjąć z pomocą pracownikowi nie posiadającemu skierowania z zakładu pracy, a już podnoszącemu swoje kwalifikacje, to wówczas może zawrzeć z tym pracownikiem umowę określającą wzajemne prawa i obowiązki pracownika oraz pracodawcy i przyznać wszystkie (lub niektóre) świadczenia i ulgi wynikające z przepisów par. 12 uchwały nr 263 Rady Ministrów z 23 grudnia 1982 r. (niezależnie od roku studiów, na którym znajduje się ten pracownik).

Kontynuowanie studiów zaocznych, jak również ewentualne przyznanie związanych z tym świadczeń i ulg przysługujących pracownikom podnoszącym kwalifikacje, powinno być określone jednoznacznie w momencie zawierania umowy o pracę z urzędem gminy. W chwili obecnej urząd może zawrzeć umowę, o której mowa wyżej i przyznać wszystkie lub niektóre świadczenia i ulgi wynikające z przepisów uchwały nr 263 Rady Ministrów. Należy jednak zwrócić uwagę, że decyzja w tej sprawie należy wyłącznie do urzędu gminy, w obrębie której znajduje się szkoła (miejsce pracy). (Lew.)

UWAGA!

DO BYŁYCH JEŃCÓW WOJENNYCH

Po zakończeniu kampanii wrześniowej, w hitlerowskich obozach jenieckich znalazło się około 18 tysięcy polskich oficerów, kilka tysięcy podchorążych oraz ponad 400 tys. szeregowców i podoficerów. Większość z nich podjęła różnego rodzaju działalność konspiracyjną. We wszystkich oflagach i w wielu stalagach działały tajne organizacje.

Do najczęstszych form ruchu oporu należały ucieczki z obozów i sabotaż podczas pracy. Istniały też doskonale zorganizowane struktury konspiracji kierowanej przez Komendę Główną ZWZ i AK. W drugiej połowie 1940 r. powstała w kraju koncepcja wykorzystania żołnierzy przebywających w niewoli niemieckiej oraz Polaków wywozonych na roboty przymusowe do Niemiec dla celów wojennych, a zwłaszcza utworzenia sił zbrojnych w momencie załamania się III Rzeszy. Plan ten zaakceptował gen. Władysław Sikorski.

W związku z tym przy Oddziale I Komendy Głównej ZWZ-AK powstała specjalna komórka, która otrzymała kryptonim „IKO”. Jej zadaniem było nawiązanie i utrzymywanie łączności z obozami jenieckimi. W wyniku tych działań udało się ujednolicić formy obozowych konspiracji. W oflagach istniały również tajne grupy lewicowe, które włączyły się do pracy konspiracyjnej.

W Oflagu II B w Choszczynie istniało Koło Zagadnień Wiejskich, które grupowało komunistów, socjalistów i ludowców. Przewodniczącym koła był por. Władysław Bągiński, a jednym z członków zarządu Adam Rapacki, do współpracy należał Leon Kruczkowski. W kwietniu 1944 r. w Oflagu II D w Bernie — Sulimowie powstało tajne koło PPR. Również w Oflagach II C w Dobiegniewie, VI B w Dolessele i VII A w Murnau istniały nielegalne lewicowe organizacje polityczne.

Do zadań tajnych organizacji ruchu oporu w obozach jenieckich należało:

- utrzymywanie patriotycznej postawy i zdolności bojowej polskich żołnierzy, którzy znaleźli się w niemieckiej niewoli, poprzez szkolenie wojskowe i inne formy zorganizowanej pracy kulturalno-oświatowej i sportowej;
- zorganizowanie czynnej obrony na wypadek, gdyby Wehrmacht przystąpił do likwidacji jeńców oraz pomoc w ucieczkach z obozów;
- zorganizowanie nasłuchu radiowego i wydawanie nielegalnych biuletynów informacyjnych.

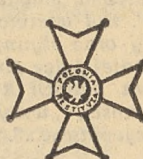
Do najlepiej zakonspirowanych form obozowego podziemia należały działania związane z istnieniem grup bojowych wyposażonych w broń oraz tajne szkolenie wojskowe i działalność

nasłuchu radiowego. Również działalność oświatowa i kulturalna miała za zadanie podtrzymywanie wśród jeńców ducha walki.

Niemcy starali się wszelkimi możliwymi sposobami wykręcić i zlikwidować działające obozowe podziemie. Tragicznie zakończyła się działalność tajnej organizacji wojskowej „Odra” w Oflagu II D. Po jej wykryciu przez obozową Abwehrę nastąpiły aresztowania i wyroki śmierci. Został wówczas zamordowany przez Niemców płk. Witold Dzierżykraj-Morawski. Jeńcy, którzy uczestniczyli w ruchu oporu, byli szczególnie represjonowani i wielu z nich Abwehra, przy współudziale gestapo, skrytobójczo likwidowała.

W związku z prowadzonymi pracami badawczymi, proszę się wszystkich byłych jeńców, którzy brali udział w jenieckim ruchu oporu lub dysponują materiałami na ten temat — o zgłoszenie się pisemnie pod adresem: Główna Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, Instytut Pamięci Narodowej, Okręgowa Komisja w Zielonej Górze, pl. Słowiański nr 1.

TYGODNIK ODZNACZONY



**KRZYŻEM
KOMANDORSKIM
ORDERU
ODRODZENIA
POLSKI**



**ZŁOTA
ODZNAKA
ZNP**



**MEDALEM
KOMISJI
EDUKACJI
NARODOWEJ**



**KRZYŻEM
ZA ZASŁUGI
DLA ZHP**

Redaguje zespół: Danuta Chrzczonowicz (sekretarz redakcji), Maria Kalinśka (zastępca sekretarza redakcji), Teresa Konarska (kierownik działu), Jerzy Krasnowski (kierownik działu), Barbara Konarska (redaktor techniczny), Zenobia Miller (kierownik działu), Bożena Niedziółka, Zbigniew Pawłowski (redaktor naczelny), Maria Rybarczyk (zastępca redaktora naczelnego), Witold Salanski, Wojciech Sierakowski, Halina Drachal (kierownik działu), Henryka Witalewska (kierownik działu), Zdzisław Nowak, Jan Rooki (redaktorzy graficzni), Marek Suchecki (fotoreporter), Kierownik administracyjny — Teresa Grochowska, korekta — Irena Kościelnik, Hanna Kalinowska.

Adres redakcji: ul. Spasowskiego 6/8, 00-389 Warszawa. Telefony: 26-10-11, 26-34-20, 27-66-30.

Tekstów nie zamówionych redakcja nie zwraca. Zastrzegamy też sobie prawo do ich skracania i opatrywania tytułami.

WARUNKI PRENUMERATY

Instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch”, zamawiają prenumeratę w tych oddziałach. Instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” i na terenach wiejskich, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli.

Prenumeratę indywidualną, zamieszkałym na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch”, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. Prenumeratę indywidualną w miastach — siedzibach oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” — opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-odbiorczych, właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratorki. Wpłaty dokonują używając „blankietu wpłaty” na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch”.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch”. Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa. Konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę:

— do 10 listopada na I kwartał, i półroczne roku następnego oraz cały rok następnego.

— do 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Koszty prenumeraty krajowej na 1986 rok: kwartalnie 104 zł; półrocznie — 195 zł; rocznie — 364 zł.

Reklamy i ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń i Reklamy Wydawnictwa Współczesnego, 00-490 Warszawa, ul. Wiejska 12. Ceny ogłoszeń: drobne — 80 zł za 1 wyraz lub znak o oddzielnym znaczeniu; dla ogłoszeń dotyczących poszukiwania pracy przez nauczycieli — 50 proc. niższej; dodatkowa opłata za pośrednictwo w przekazywaniu ofert — 50 zł kredytowe; komunikaty 180 zł, nekrologi 150 zł, reklamy 165 zł za 1 cm kw. Należność za ogłoszenia prosimy wpłacać na konto: NBP III O/M Warszawa 1036-6223.

Druck: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch”, 02-017 Warszawa, ul. Nowogrodzka 84/86.

Nakład 70 000 egz. NR INDEKSU 35923

PL ISSN 0017-1263 Zam. 1736, N-5.

NOWOŚCI NADESŁANE

LITERATURA PIĘKNA

Józef Ignacy Kraszewski: **POLDIABLE WE-NECKIE**. WL, Kraków 1985, s. 162, cena 135 zł. Władysław Bodnicki: **Z RODU TYTANÓW**. WL, Łódź 1985, s. 542, cena 300 zł.

Maria Dąbrowska: **WILCZĘTA Z CZARNEGO PODWÓRZA**. WL, Łódź 1985, s. 62, cena 30 zł.

Krzysztof Solonowicz, Kazimierz Kulesza: **PRZECIWI ROZPACZY**. WL, Kraków 1985, s. 290, cena 160 zł.

Ryszard Jęgorow: **SEDZIOWIE BEZ TOGI**. WL, Lublin 1985, s. 150, cena 85 zł.

Paweł Jasienica: **ROZWAŻANIA O WOJNIE DOMOWEJ**. WL, Kraków 1985, s. 124, cena 150 zł.

Joseph Conrad: **W OCZACH ZACHODU**. WL, Łódź 1985, s. 238, cena 200 zł.

Mikołaj Lesków: **NAPIĘTNOWANY ANIOŁ I INNE OPOWIADANIA**. WL, Kraków 1985, s. 436, cena 210 zł.

Kornel Makuszyński: **KARTKI Z KALENDARZA**. WL, Kraków 1985, s. 508, cena 250 zł.

Luis Goytisolo: **OBRAZUNKI**. WL, Kraków 1985, s. 622, cena 350 zł.

Jan Maria Gigos: **WYWOŁYWANIE DUCHÓW**. LSW, Warszawa 1985, s. 342, cena 300 zł.

Jerzy Harasymowicz: **NA CAŁY REGULATÓR**. WL, Kraków 1985, s. 60, cena 45 zł.

Władysław Dunarowski: **ROŻNE OPOWIEŚCI**. WL, Kraków 1985, s. 200, cena 100 zł.

Opracowanie Stanisław Grzeszczuk: **ANTOLOGIA LITERATURY SOWIEZDZKIEJ XVI I XVII WIEKU**. Ossolineum, Wrocław 1985, s. 450, cena 240 zł.

James Dickey: **WNETRZE RZEKI**. WL, Kraków 1985, s. 75, cena 85 zł.

Janusz B. Roszkowski: **BLIZNY NA ZIEMI**. WL, Kraków 1985, s. 92, cena 30 zł.

José Martí: **WIERSE**. WL, Kraków 1985, s. 126, cena 70 zł.

Jerzy Niemcewicz: **KAWALKADY PIEKŁA**. WL, Kraków 1985, s. 126, cena 45 zł.

Henri Michaux: **GDZIE INDZIEJ**. WL, Kraków 1985, s. 204, cena 120 zł.

INSPEKTOR OŚWIATY I WYCHOWANIA

77-320 Przechlewo

ul. Szkolna 4

woj. śląskie

zatrudni

od 1 września 1985 r.

nauczyciela języka polskiego w Szkole Podstawowej w Nowej Wsi oraz małżeństwo nauczycielskie ze specjalnością — matematyka w Szkole Podstawowej w Przechlewie. Mieszkania gwarantowane.

K 311

HISTORIA, LITERATURA, POLITYKA

Edmund Tomaszewski: **ZWIĄZEK MŁODZIEŻY WIEJSKIEJ 1957-1976**. LSW, Warszawa 1985, s. 330, cena 200 zł.

Grzegorz Leopold Seidler: **PRZEDMARKSOWSKA MYŚL POLITYCZNA**. WL, Kraków 1985, s. 642, cena 600 zł.

Kazimierz Przybylski, Andrzej Wojtas: **BATALION CHŁOPSKI**. LSW, Warszawa 1985, s. 286, cena 260 zł.

ROŻNE

B. Czarniawska, A. W. Nocur, J. Szmagańska: **KIEROWANIE W KULTURZE. PERSPEKTYWA SUKCESU**. COMUK, Warszawa 1985, s. 358, cena 300 zł.

Helena Brodowska: **CHŁOPI O SOBIE I POLSCE**. LSW, Warszawa 1985, s. 270, cena 190 zł.

Józef Ryszard Szaflik: **DZIEJE OCHOTNICZYCH STRAŻY POŻARNYCH**. LSW, Warszawa 1985, s. 316, cena 500 zł.

Ryszard Brykowski, Marian Kornecki: **DREWNIANE KOŚCIOŁY W MAŁOPOLSCIE POŁUDNIOWEJ**. Ossolineum, Wrocław 1985, s. 176, cena 320 zł.

Andrzej Brożek: **POLSKICH AMERICANS 1854-1939**. Interpress publishers. Warszawa 1985, s. 274, cena 250 zł.

OGŁOSZENIA DROBNE

Nauczycielka historii z długoletnim stażem poszukuje pracy, najchętniej na wsi. Warunek: mieszkanie rodzinne z wygodami. Elżbieta Bojar, ul. Zubrzyckiego 18c/405, 45-263 Opole.

310

Nauczycielka — magister filologii polskiej poszukuje pracy. Warunek: mieszkanie rodzinne. Maria Tworek 58-230 Niemcza Gumin 15.

314

DYREKCJA ZESPOŁU SZKÓŁ ROLNICZYCH

w Lubiejewie

k. Ostrowi Maz.

zatrudni

● wicedyrektora Zespołu — wymagane wyższe wykształcenie rolnicze

● kierownika internatu Zapewnia się mieszkanie rodzinne z wygodami.

Nasz adres: Zespół Szkół Rolniczych w Lubiejewie 07-300 Ostrow Mazowiecka, tel. 32-66.

K 315

INSPEKTOR OŚWIATY I WYCHOWANIA

23-420 Tarnogród

woj. zamojskie

zatrudni

z dniem 01.09.1985 r.

nauczyciela języka angielskiego. Zapewnia się mieszkanie rodzinne z wygodami.

K 312

O PIJAŃSTWIE I GRAFOMANII -INACZEJ

Tuwim chciał kiedyś wydawać magazyn staroświecki pt. „Dylizans”. Był wielbicielem dawnej naszej kultury oraz słynnym bibliofilem. Sam pisał o swojej żylce zbieracza, kolekcjonera, amatora białych kruców, magazynów starożytności, „wszystkiego, co rzadkie, dziwne, tajemnicze...”.

W liście do profesora Juliana Krzyżanowskiego z sierpnia 1949 roku uskarżał się wręcz na rozmiar tego swojego nalogu: „(...) zebrałem dość ciekawą kolekcję nazw książczyca w kilkuset językach. Trudno, zbieractwo jest ciężką, nieuleczalną chorobą: obarczony nią człowiek rzuca się na całkiem niespodziewane obiekty”.

Obiektem takim równo przed pięćdziesięciu laty okazało się nasze słownictwo... nietrzeźwego stanu, które Tuwim pieczołowicie gromadził i wydał jako „Polski słownik pijacki”, uzupełniony „Antologią bachiczną”.

W żartobliwym słowie wstępnym opowiedział poeta, jak do tego doszło. Otóż zdumiony bogactwem terminologii pijackiej, zaczął „odnotowywać wszelkie pijactwa dotyczące wyrazy”, a wtedy rzecz rozrosła się niebывale. Notatki przemieniły się w słownik, a ten z kolei stał się natchnieniem innych — niestety, tylko zamierzonych — leksykonów: żołnierskiego, uczniowskiego, demonologicznego. Miał się nawet ukazać słownik wyzwick i obelg... Cóż by to była za rozkosz spędzać nad nim długie godziny. Zwalazcza że sama już poezja Tuwima mogła służyć jako źródło wspaniałych inwektyw sąsiadujących z

czystym wzruszeniem. Musieliśmy się jednak zadowolić tylko pierwszym z niezwykłej serii słowników. Tuwim nie wahał się zresztą nazwać swoje dzieło „pijackim Lindem” i z kpiarskim patosem głosił w przedmowie: „(...) wolny, trzydziestomilionowy naród — to był rok 1935! — posiadający skromnie licząc, pięć milionów zawołanych pijaków, powinien mieć jakiś leksykon, jakąś encyklopedię, w której zabłysłyby świetności mowy ojczystej w kieliszku odbite(...)”.

Cóż — brźmi to zabawnie, choć proroczy charakter takich ocen przypisuje dzisiejszego czytelnika o dreszcze. Słuchamy jednak uzasadnionych zachwytów Tuwima nad świetnościami mowy naszych przodków, wyrażającej ten szczególny stan ducha (i nie tylko ducha). Nad bogactwem słów, które „zadzwoniły w szklanki i butelki taką symfonią, rozbudowały się w przepastnych gardzielach taką pieśnią”, że nie już nam nie pozostaje tylko podziw, choćby dla nazw i określeń rżęcących nas rozkoszy.

Zresztą — mówiąc poważnie — pochwała radości i wina doczekała się w polskiej poezji utworów doskonałych. Nieprześcigniony wydaje się nade wszystko Kochanowski ze swoją pieśnią o dbanie pisanym i z fraszkami z Anakreonta. Był jeszcze potem „Kurdesz” Bohomolca i była „Pieśń filaretów”. Ale Jan z Czarnolasu wypowiedział, jak się wydaje, najcieplejsze słowa o przyjaźni, żartach towarzyskich i atmosferze renesansowej radości, jakiej

sprzysja dobre wino w najlepszym gronie zżytych ze sobą, miłych i mądrych ludzi.

Wiersze staropolskie poświęcone różnym biesiadnym tonom i półtonom, zebrał Tuwim w drugiej części leksykonu. Jednak pierwsza — słownik pijacki właściwy — wydaje się ciekawsza.

Zastanawia już choćby sama liczba nazw przeróżnych naszych napojów, nazw pozbieranych aż z 434 źródeł drukowanych i wielu ustnych. Wśród ksiąg, z których czerpał autor „Słownika”, znajdują się nawet „Sprawozdania Komisji Językowej Akademii Umiejętności”, ale znalazł się też wydany w Kijowie słownik arezstantów. Są saskie kazania oraz słynne refleksje Witkacego o narkotykach i alkoholu.

Przestajemy się śmiać, zaglądając w taki ogrom wiedzy. Ale przestajemy tylko na chwilę. Bo wśród kilkuset określeń samej pocziwiej gorzały liczne przemawiają w sposób zupełnie wyjątkowy do naszej wyobraźni. Oto na przykład „raszpla”, czyli wódka tak mocna, że aż przypominająca szwajski pilnik. Inna znów, zakrapiana i pita w niedzielę, zwie się „katolicka charakteryzowana”. To w środku kraju, bo na Śląsku o podobnym napoju mówiono żwizę: „cement z punktem”.

A oto inne perełki z Tuwimowskiego leksykonu: bywa się „pijanym jak noc” i „pijanym pod sufit”; można pić z „roztruchana”, jak to chciał czynić Papkin i ze skromnego „szczeniaka”, niewielkiej butelczyny, którą wysoko cenili bohaterowie Wiecha.

I dość już na ten temat w nauczycielskim piśmie! Zresztą „tematyka bachiczna” zachwycała Tuwima jako zapis słownikowy i fragment historii obyczajów. Poza tym pasjonowały go różne inne nurty polskiej kultury obyczajowej, a wśród nich czytelnice skłonności naszych rodaków w różnych czasach.

We wstępie do swojej słynnej antologii — „Cztery wieki fraszki polskiej” głosił Tuwim przekonanie, że tak zwany szeroki ogół czytelników wolał raczej w przeszłości „straganowe broszury i jarmarczne świstki niż dzieła Krasickich czy Staffów. Ze wobec tego rola „piśmiennictwa nieoficjalnego” była zawsze ważna i doniosła.

Pieczołowicie wydobywał więc autor „Rzeczy czarnońskie” na światło dzienne różnych poetów doskonałych. „Oglądał i czytał — jak ze wzruszeniem wspomina Parandowski — wszelkie sieroce książeczki staroświeckich wierszokletów od niedzieli i zadzierzystych grafomanów (...). Wielu przygarnął jednym niezwykłym zwrotem, jednym szczerym słowem”.

Czasem jednak jakiś twórca, nie uwzględniony w podręcznikach literatury, stawał się przedmiotem długotrwałych studiów

Tuwima. I tak na przykład wojna przerwała mu kompletowanie danych o życiu i „dziełach” niejakiego Sotera (tak jest!) Rozbickiego. Liczne notatki o tym na pozór niezdarzonym pisarzu, przygotowywane do druku wraz z innymi felietonami i esejami, zakopał Tuwim we wrześniu w piwnicy swego domu. „Gdy po powrocie do kraju odzyskałem ekshumowaną walizę — niewalizę, pisze Tuwim, sześcienną bryłę prochów raczej — znalazłem w niej bezładne zbiórki, zlepki, bochenki przemozonego, zbutwiałego papieru. Cudem jakimś ocalały prawie w całości dwz pakiety: materiały do życiorysu Sotera Rozbickiego oraz innych grafomanów i manuskrypty książkowe(...)”.

„Książka” — to „Pegaz dęba”, a „materiały” to wspomniane notatki do zamierzonej monografii o zapomnianym i wydzieńczonego pisarzu. Wolno przypuszczać, że przyciągał on uwagę Tuwima już samym imieniem i herbem: Soter Rozmiar Rozbicki — to przecież brzmi! Do tego prawie rówieśnik Norwida, wychowanek stolicy... Swej sympatii dla Rozbickiego nie uwięcił już Tuwim książką. Nie zdążył. Pracę rozpoczętą przez niego doprowadził do końca w bardzo ciekawej „składance” Janusz Dunin („Życie i sprawy Sotera R. Rozbickiego” — Łódź 1980). A oto, co z niej wynika.

Rozbicki żył w latach 1823—1876. W młodości został warszawskim urzędnikiem o nieposkromionych ambicjach poetyckich i wydawniczych. Jako autora raz po raz drukowanych wierszy, komedijek, anegdot, ramot i bajek — wzgardliwie odrzucał go krytycy. A czytali i cenili ... przeciętni odbiorcy słowa pisanego i mówionego.

Usunięty z urzędu „za poezję”, Rozbicki stał się wędrownym, jarmarcznym artystą, zyskującym sobie znaczną popularność w wsiach, po miasteczkach, po dworkach ziemiańskich, w których chętnie rezydował za pocztunek. Na przekór szyderczym recenzjom i oficjalnym gustom stał się wkrótce „własnością ogólnopolską”. Twierdził, że uśmiech widza jest jego celem, a pieniądź — jedyną nagrodą. Był — jak stwierdza Janusz Dunin — twórcą polskiego show — businessu. W późniejszych latach zyskał sobie Rozbicki sławę, jak byśmy to dziś powiedzieli — dobrego tekściarza i założył wreszcie w Warszawie przy ulicy Bełdarskiej „Ogródek piwa bawarskiego pod Księżycem”. Była to trochę knajpa, a trochę kram z piosenkami, nawet z iluminacją, fotoplastykonem, małą oranżerią.

Czyżby Rozbicki stał się prekursorem polskiego kabaretu? Jakiejś „Silnej grupy pod wezwaniem”? Tuwim przepadał zresztą za kabaretem, szopką, za przebojami. Tak czy inaczej — coś jeszcze napiszę o tym wspaniałym Soterze Rozbickim.

przed META

DŁUŻNIK KŁANIA SIĘ POKORNIC

MIECZYSLAW BILSKI

Mam dług. Rzecz prosta, nie dosłownie i nie w tym sensie, jak to się zwykło określać. Nie, żadne pieniądze tutaj nie wchodzi w rachubę. Szybciutko zatem wyjaśniam, że idzie o listy, konkretnie o odpowiedzi na nie, bo kilka otrzymałem ostatnio, ale ważne tematy, decyzje i sprawy stanęły na przeszkodzie pogawędzenia w tej rubryce z Czytelnikami. Jestem wdzięczny za każdą notatkę, za każdą uwagę, miłą czy też kaskliwą, i przysięgam na honor, że czytam to wszystko z największym skupieniem i wnikliwością.

Teraz czas wakacyjny sprzyja temu, by porozmawiać. Najmocniej przeprasza p. Franciszka Sagana, że musiał dość długo czekać na moje odezwanie się. Wszakże lepiej późno niż wcale, więc oświadczam publicznie, iż temat, który został zaproponowany z Zamościa, podejmę, wprzód jednak trzeba tam pojechać, trzeba zebrać materiał.

Sprawa dotyczy Zamojszczyzny. Wychowania fizycznego w tamtejszych szkołach, które — tak twierdzą eksperci obserwujący to zjawisko z boku — przypomina marsz raka. Tak, raka, który chodzi tyłem. Między innymi zlikwidowano w samym Zamościu działalność Międzyszkolnego Ośrodka Sportowego. Ten ośrodek pamiętam z wizyty, jaką tam złożyłem kilka lat temu w akcji „Przeglądu Sportowego” pod nazwą Rajd Szlakami 30-lecia PRL. Dobrze więc pamiętam z tamtego okresu obecnie emerytowanego nauczyciela wychowania fizycznego, mego korespondenta, p. Franciszka Sagana. Przyjeżdżemy, zobaczymy.

Druga korespondencja, którą się pragnę pokrótce zająć, dotyczy II Międzywojewódzkiego Biegu „Belfrów”, imprezy, jaka się odbyła w maju br. w Wejherowie. Pisaliśmy o tym, ale nie ustosunkowaliśmy się do propozycji objęcia patronatu nad III biegiem o tej samej nazwie, zaplanowanym przez Zarząd Oddziału ZNP w Wejherowie.

Niczego nie obiecujemy. Ale propozycja warta jest

rozważenia. Myślę, że „Głowski Nauczycielskiemu” wóś nie spadnie z głowy, jeżeli obejmie patronat nad tą miłą, interesującą i pożyteczną imprezą, mimo lokalnego charakteru zawodów. Puchar ufundujemy z przyjemnością, przyjeździemy w przyszłym roku, wcześniej postaramy się bieg rozreklamować i spopularyzować na łamach „GN”.

Trzeci list, który wpłynął do redakcji i którym żywo się zainteresowałem, dotyczy dość istotnej sprawy wywoływania hałasu wokół imprez sportowych w dziedzinie wysokiego wyczynu. Bardzo mi się spodobało podejście p. Edwarda Kuli do tematu i spojrzenie, dodajmy, z pozycji niezaangażowanego obserwatora, na sport kwalifikowany. Zdaniem p. Kuli to, co robią sprawozdawcy, relacjonując wydarzenia z obiektów sportowych, zwłaszcza te, które dotyczą imprez międzynarodowych — wola o pomstę do nieba. Ale nie wyrecytujemy autora listu. Pisze on w tej sprawie m.in.: „Sprawozdawca z Budapesztu (dotyczy mistrzostw Europy w boksie — dop. M.B.) stał w eter nieprzeliczone słowa bólu nad upadkiem polskiego boksowania. Nic, tylko wyć z powodu tej tragedii. Dla podtrzymania dramatycznej tuby redaktor zaprosił nawet Pietrzykowskiego, bohatera mistrzostw Europy w boksie. Jak nasi wtedy bili(...)”. Autor listu pisze dalej:

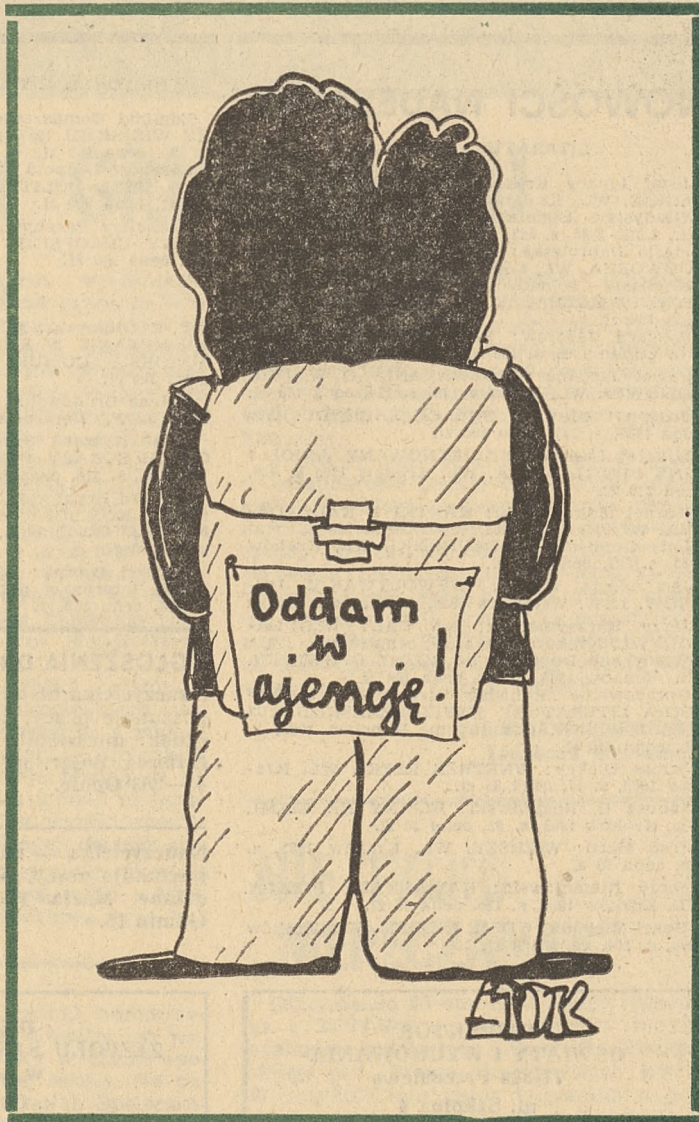
„Jak dramatycznie brzmią słowa trenera kadry polskich piłkarzy w związku z dalszymi losami drużyny w mistrzostwach świata. Postulujemy: „Dla polskiej piłki nie ma obecnie ważniejszej sprawy niż mecz z Belgią. Jeśli 11 września na Stadionie Śląskim wywalczymy awans do finałów mistrzostw świata w Meksyku, to ten sukces stworzy lepszy klimat wokół całego naszego sportu. W Chorzowie trzeba koniecznie postawić kropkę nad „i”.

A jak nie postawi się kropki nad „i” panie trenerze? Ludzie przestaną biegać, grać w piłkę, pływać dla przyjemności? A ministerstwo sportu i turystyki (nie ma ministerstwa, jest GKFiS oraz GKT — dop. M.B.) pewnie zamknie wszelkie konta na rzecz rozwoju kultury masowej w kraju? A może np. w Szalejowie Górnym dzieci w miejscowej szkole mają przez całą zimę zajęcia wf na maleńkim korytarzu, tuż koło klas, to pestka, to już nikogo nie musi obchodzić? A że w tej wielkiej gminie są zaledwie dwie sale gimnastyczne na 11 szkół, to też nikomu leż z oczu nie wyciska. Nad tym bym biadolili, a nie nad tym, że Kosedowski nie bił przeciwnika jak trzeba i nie zdobył złotego medalu. Placę, że Janek Suwała z Piszkwic, uczeń klasy VI, nigdy jeszcze nie ćwiczył w sali gimnastycznej, a jedynym jego rekwiiztem szkolnego wf jest latana przezeń piłka.

Protestuję przeciw takiemu sportowi, który odbiera zawodnikowi radość rywalizacji, czyni z młodych ludzi istoty udrećzone i umęczone(...)”.

Rozumiem, że nasz Czytelnik nie ma nic przeciwko wyczynom i przeciw temu, by w naszym społeczeństwie młodzi ludzie, którzy kochają sport, mieli możliwość sięgania po najwyższe zaszczyty.

Oczywiście, podzielamy pogląd pana Kuli, iż pierwszą i fundamentalną sprawą jest jego powszechność, zasięg i dostęp, równy start każdego młodego człowieka niezależnie od tego, gdzie mieszka, w jakiej szkole się uczy. Sport należy budować jak piramidę: potrzebne fundamenty i wysoko to, co najlepsze, najpiękniejsze.



W NAJBLIŻSZYCH NUMERACH:

Ile będziemy zarabiać? — sprawy ciąg dalszy ● Na wczasach i nie tylko — wakacyjne relacje naszych wysłanników ● Nauczycieli z różnych stron świata — spotkanie z Polską ● Rajd rowerowy — fotoreportaż z Kołobrzegu ● Na kursie w Chylicach.